

Filmowe debiuty
Wspomnienie 40. festiwalu
„Młodzi i Film”
STR. 10, 14

Zwiedzamy region
Zapraszamy na wycieczkę
do Darłowa
STR. 20, 24

Zaporozce z duszą
kolekcja miniaturowych
aut Andrzeja Hamerli
STR. 28

Dolina Śmierci
Kalifornijskie kontrasty
Roberta Nawrockiego
STR. 32

**LIPIEC
- SIERPIEŃ**

MIASTO PLUS

Nr 7-8/2021 (80)

Wydanie bezpłatne • ISSN 2392-3385

www.miesto.koszalin.pl

KROPLA MAGII DLA KAŻDEGO

POMORSKIE SKŁADY DREWNA



Drzwi i podłogi **VOX**

Pomorskie Składy Drewna oferują m.in.:

- Drewno konstrukcyjne C24
- Drewno KVH
- Drewno budowlane
- Boazerie
- Podbitki
- Taras modrzewiowy i sosnowy
- Płyty OSB, MFP, wiórowe, meblowe
- Sklejki liściaste i iglaste
- Sklejki szalunkowe
- Listwy drewniane
- Schody i stopnie schodowe
- Blaty klejone dąb, buk, sosna
- Podłogi drewniane
- Barlineckie deski podłogowe
- Panele podłogowe
- Drzwi wewnętrzne i zewnętrzne
- Impregnaty Koopmans
- Usługa cięcia i transportu

Koszalin, ul. Bohaterów Warszawy 5 • tel. 94 343 20 10

Godziny otwarcia: poniedziałek – piątek 8.00-16.00, sobota 8.00-14.00



- bramy
- drzwi
- okna
- podłogi
- rolety



www.domstyl.koszalin.pl

NAJWIĘKSZA EKSPOZYCJA
W KOSZALINIE

 OKNOPLAST

 WIŚNIEWSKI

 htenso

 POLSKONE

 DRE

 GERDA

 interdoor

 HORMANN

 PORTA

 verte

 C4

 GIPS KINGS

 QUICK STEP

 balterio

 BOEN

 JAWOR-PARKIET

 KRONO

 JP

ul. Morska 4a, 75-281 Koszalin

LETNIE POZYTYWNE WIBRACJE

Mamy lato. Czasem upał, czasem deszcz (jak się przekonał, potrafi solidnie dokuczyć). Bierzymy urlop, zatem pilniej niż w innych porach roku oglądamy zachody słońca, próbujemy letnich smaków: każdy czeka przecież na truskawki i na słodkie (i słono kosztujące, niestety) czereśnie. Wszystko kwitnie, dojrzewa, kusi. A my? Aż chciałoby się apelować: korzystajmy z letnich pozytywnych wibracji świata. Bądźmy jak on, ten naturalny. Czerpmy, ile się da, oddychajmy pełną piersią. Niestety, to chyba tylko marzenie, bo na ulicach zamiast uśmiechu – często grymas zniecierpliwienia. W sklepach zamiast uprzejmości – przepychanki. W mediach społecznościowych walka słowami aż pieką oczy. Coś niedobrego się z nami stało...

Bądźmy na przekór tym wszystkim, którzy pieką się, udowadniają swoje racje choćby nie wiem co albo po prostu żądają, „bo tak”. Choć na chwilę ucieknijmy w lekturę, a jest szansa, że zrobi nam się po prostu milej.

Spojrzeni Państwo na okładkę? Prawda, że oryginalna? Dziewczyna – bohaterka materiału Dany Jurszewicz – z pewnością wierzy w moc dobrych wibracji. I na swój sposób rysuje świat. Ten na papierze, ale też ten własny, prywatny. Zaraża energią, humorem i radością życia. Takich ludzi wokół życzę nam wszystkim jak najwięcej. Ilona wie, jak narysować człowieka, żeby... czuć się dobrze. Po co? Właśnie po to. Dla dobrego samopoczucia. A jeśli dodamy do tego energię z kosmosu i czerpanie z dziecięcej radości – mamy piękną całość.

Kto lepiej rozumie potrzebę brania i dawania dobra jak nie artyści? W czerwcu miasto gościło filmową śmietankę za sprawą

40. Koszalińskiego Festiwalu Debiutów Filmowych „Młodzi i Film”. I miło, że nie zabrakło na imprezie koszalinian. Magdalena Wojtaszek porozmawiała z Karolem Lindholmem, którego krótkometrażowy debiut obejrzeni festiwalowi goście. Mamy też fotorelację z filmowych wydarzeń.

Robert Nawrocki zabiera nas w dwie tym razem podróże. Całkiem bliską, bo do Darłowa (w tym niepewnym czasie dobrze rozejrzeć się po regionie zamiast ryzykować daleki wyjazd), a odważniejszych lub marzycieli zaprasza do... Doliny Śmierci.

Ewa Marczak natomiast nakłoniła do opowieści o pasji Andrzeja Hamerłę. Nikt chyba tak nie zna się na zabytkowych już zaporozcach, ładach, moskwiczach czy trabantach. I choć to głównie kolekcja w miniaturze, ma w sobie solidny kawał historii motoryzacji.

Jak co miesiąc, zapraszamy do przygotowania kulinarnych wspólności. Tym razem oprócz potraw – wakacyjnego zestawu kulinarnego – znajdziemy przepis na letni (bealkoholowy) drink.

Ten numer „Miasta Plus” będzie Państwu towarzyszył przez całe lato. Kolejny przygotujemy już na wrzesień.

Życzę nam wszystkim, żeby urlopowy czas był chwilą łagodności. Żeby nie minął jak z bicza strzelił, tylko pozwolił nam delektować się dobrą i piękną chwilą. Bądźmy dobrzy dla siebie i dla innych. I niech nas niosą przez lato pozytywne wibracje.

Milej lektury!

Joanna Wyrzykowska
redaktorka naczelna

DZIAŁO SIĘ W CZERWCU:



11 czerwca wybuchł pożar w hali magazynowo-produkcyjnej z tekstyliami i opakowaniami. Jego gaszenie trwało trwało trzy dni, a w akcji uczestniczyło kilkadziesiąt zastępów straży pożarnej z Koszalina i okolic. W pomoc zaangażowały się nawet jednostki z KP PSP w Kołobrzegu czy z KP PSP Sławno Posterunek Darłowo. Strażaków wsparli mieszkańcy i okoliczni przedsiębiorcy.



8 czerwca Koszalińska Biblioteka Publiczna zyskała wyjątkową przestrzeń dla czytelników. To wtedy otwarty został oficjalnie taras „Pod Bookiem”. To wyjątkowe miejsce powstało dzięki pomysłowości Natalii Sulimy oraz Barbary Wysmyk, a projekt zrealizowano dzięki funduszom z Koszalińskiego Budżetu Obywatelskiego oraz dotacji z Rady Miejskiej.



Motocykliści po raz kolejny okazali wielkie serca. Tym razem podczas koszalińskiej imprezy „Motobąble” i białogardzkiej – „Motoserca” wspomagali Karolka Rapsiewicza.



7 czerwca doszło do strajku ostrzegawczego pielęgniarek i położnych. W największych miastach odbyły się także protesty pod siedzibami wojewodów, natomiast przedstawiciele rządu otrzymali od nich pismo z postulatami. Jako główny powód strajku podano ówczesny projekt ustawy o sposobie ustalania najniższego wynagrodzenia zasadniczego niektórych pracowników zatrudnionych w podmiotach leczniczych.



Ławki przy stadionie ABC nie zachęcają swoim wyglądem i stanem. Nie brakuje na nich śladów wandalizmu – nie tylko napisów graffiti czy powyłamywanych oparć lub innych części. Co więcej, widać również ślady zaniedbania, jak łuszcząca się farba czy ptasie odchody. ZDiT zobowiązało się do remontu tych najbardziej zdewastowanych obiektów.



Dzierżęcinka po raz kolejny okazała się skarbnicą... odpadów. Podczas akcji sprzątania Koszaliński Klub Płetwonurków „Mares” wyłowił m.in. opony, zdezelowane laptopy, telefony komórkowe, butelki, puszki czy kłódki z kluczami.

MIASTOPLUS

tel. 94 720 24 00, fax 94 720 24 19
redakcja@miasto.koszalin.pl

Redaktor naczelna:
Joanna Wyrzykowska

Redakcja: Radosław Czerwiński, Dana Jurszewicz, Ewa Marczak, Izabela Nowak, Robert Nawrocki, Magda Pater (foto), Mateusz Prus, Alicja Tułnowska, Tomasz Wojciechowski, Magdalena Wojtaszek

Dział reklamy:
Ewa Langner, tel. 94 720 23 06, ewa@tkk.net.pl
Wioleta Saferska, tel. 94 720 24 10, wioleta.saferska@miasto.koszalin.pl
Agnieszka Szkapicz, tel. 94 720 24 11, agnieszka.szkapicz@miasto.koszalin.pl

Wydawca:
Telewizja Kablowa Koszalin Sp. z o.o.
ul. Kotarbińskiego 3,
75-352 Koszalin
tel. 94 720 23 00, fax 94 720 23 33

Grafik:
Piotr Witkowski

OKIENKO TRANSFEROWE OTWARTE!

**Drużyna MPS International poszukuje
najlepszych zawodników na pozycje:**



Dołącz do zgranego zespołu i skorzystaj z benefitów:



SZKOLENIA I ROZWÓJ



UBEZPIECZENIE
NA ŻYCIE



DARMOWE SZCZEPIENIA



DOFINANSOWANIE
DO WZASÓW



UPOMINEK FINANSOWY
PRZED BOŻYM NARODZENIEM



NIE PRACUJEMY W WIGILIĘ
I W SYLWESTRA



COROCZNE IMPREZY
INTEGRACYJNE



IMPREZA MIKOŁAJKOWA



PACZKI BOŻONARODZENIOWE
DLA DZIECI PRACOWNIKÓW



BEZPŁATNY PARKING
SAMOCHODOWY I ROWEROWY



WIODĄCY POLSKI PRODUCENT
KOSMETYKÓW I OPAKOWAŃ

Szczegóły ofert i możliwość aplikowania:

www.mps.koszalin.pl/praca

ARCYKARYKATURY, CZYLI PORTRET Z PRZYMURZENIEM OKA

Według słownika PWN karykatura to „obraz lub opis, lub opis uwypatniający i wyolbrzymiający charakterystyczne cechy postaci, przedmiotów, zjawisk itp. aż do śmieszności”. Najczęściej jest to rysunek, rzadziej rzeźba, a jeszcze rzadziej forma literacka; karykatura to jedno z narzędzi satyry. Koszalinianka Ilona Majchrzak właśnie z tworzenia karykatur uczyniła jedno ze swoich zajęć artystycznych. Tworzy portrety zwane przez siebie arcykarykaturami.

Tekst: Dana Jurszewicz

Zdjęcia: Magda Pater, archiwum prywatne

Skąd takie określenie?

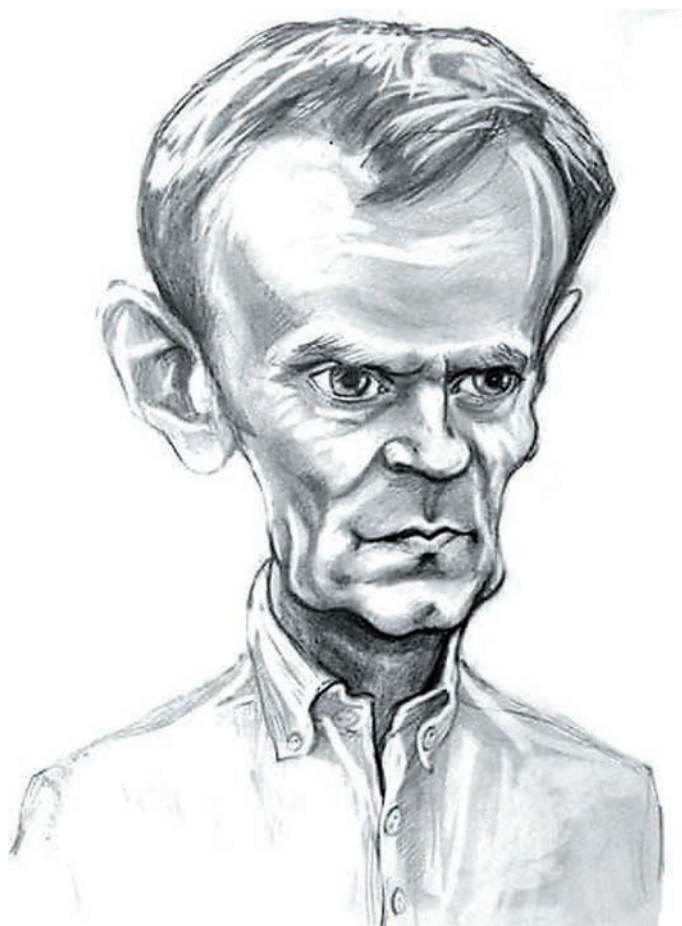
– Arcykarykatury? Każdy zasłużył na arcydzieło, każdemu należy się kropla magii. I to staram się robić. Karykatury rysuję od 10 lat, wcześniej „zwykłe” portrety. Miałam różne pomysły na kształt ostateczny takiego portretu-karykatury. Ostatecznie przyjąłem, że będą to wizerunki wesołe, sprawiające ich bohaterom i bliskim radość. Mnie ta praca daje radość i myślę, że to się przenosi na powstające prace. Sama czuję przy tym pozytywną wymianę energii z modelem, choć rysuję zazwyczaj na podstawie zdjęć i na konkretne zamówienie. Chcę, by ludzie byli zadowoleni, żeby chcieli na siebie spojrzeć. Nie chcę karykaturą kogoś złościć, kpić z niego. Cieszę się, kiedy ludzie się uśmiechają. Ja sama chodzę z uśmiechem na twarzy. Mam nadzieję, że te moje delikatne karykatury rozjaśniają trochę prozę życia. Karykatura, zgodnie ze sztuką, to nieco przerysowany portret eksponujący pewne fragmenty twarzy. Kiedyś robiłam bardziej przerysowane prace, dziś są to raczej portrety z przymrużeniem oka. Oczywiście, to są nadal karykatury, nie w pełni realistyczny portret. I widzę, że takie podejście do karykatur się przyjęło wśród moich klientów, bo zdarza się, że osoba sportretowana w ten sposób zamawia u mnie portrety dla swoich bliskich, znajomych.

Zdarzyło się, że jednak ktoś nie zaakceptował tego swojego, tylko trochę przerysowanego wizerunku?

– Nie miałam takiej sytuacji. Wszyscy byli zadowoleni i rozpoznawali oraz zaakceptowali swój obraz. Skupiam się tylko na jednym elemencie twarzy do lekkiego przerysowania – co zależy od obiektu, typu urody. Są to zazwyczaj cechy dominujące – np. wysokie czoło, blisko osadzone oczy. Robię to jednak delikatnie. Pracuję też z klientem i czasem w trakcie pracy weryfikuję swój pomysł. Zanim ostatecznie ukończę pracę – wysyłam ją zamawiającemu. Może się okazać, że nie rozpoznaje siebie czy portretowanej osoby albo jakieś szczegóły twarzy są nie takie i nie końca widzi, że to ta osoba, to poprawiam.







Rysujesz karykatury z natury i ze zdjęć. Co wolisz?

– Zwykle proszę o kilka zdjęć, bo człowiek różnie może wyglądać na każdym z nich. Proszę też, by choć jedno było z uśmiechem i ze wzrokiem skierowanym w obiektyw. Ja potrafię osobie narysować ten uśmiech, ale anatomia twarzy może zrobić niespodziankę i w rzeczywistości człowiek uśmiecha się nieco inaczej. Przywykłam do takiej metody wykonywania rysunków, bo to po prostu wygodne i dla mnie, i dla zamawiającego. Robię portrety także z natury, wtedy wzajemny przepływ energii jest większy. Ale też jest więcej napięcia, np. wynikającego z oczekiwania, jak wyjdzie, z obserwacji innych osób.

Jak wygląda twój warsztat?

– Zwykle robię prace w formacie A2 i A3, mniejszych już nie, ale większe – na zamówienie – czasem tak. Rysuję tylko ołówkiem, nie robię prac w kolorze. Mam taki ulubiony typ ołówków automatycznych, których nie trzeba temperować, zawsze są gotowe do pracy. Ulubiona miękkość to B6. Mój warsztat to także gumki – zwykła, lecz miękka, chlebowa oraz ściereczka do rozcierania kreski.

Ile czasu potrzebujesz na wykonanie rysunku?

– Samo rysowanie portretu trwa około godziny. Ale nie rysuje się bez przerwy, czasem czuję, że muszę odpocząć. Poza tym, nim wezmę ołówek do ręki – poznaję modela, czyli przyglądam się zdjęciom, analizuję, jak wygląda na tym, na innym, jaka jest budowa twarzy. Wtedy dopiero rodzi się obraz portretu – najpierw przestrzennego, który potem trzeba przenieść na płaski, dwuwymiarowy karton. Zdarzają mi się zamówienia na karykatury, które muszę robić na podstawie starych, nie zawsze ostrych, czarno-białych zdjęć. To są np. prezenty dla rodziców czy dla innych krewnych. Wtedy muszę porozmawiać z zamawiającym, posłuchać ich



Prace Ilony Majchrzak można znaleźć i podziwiać na stronie FB Arcykarykatury. Rysuje je nie tylko na zamówienia zdalne, ale podczas imprez okolicznościowych – firmowych, wesel itp. A kiedy – jak zapowiada – rozkręci się, być może zagości w którejś koszalińskiej galerii nie tylko z portretami, ale z fotografiami i z malarstwem sztalugowym w technice oleju. Tego artystce serdecznie życzymy.

sugestii i dodatkowych opisów. A mam takich klientów, których nie zraża nic, nawet dłuższy czas oczekiwania.

Od czego zaczynasz pracę?

– Zwykle od zarysowania kształtu twarzy, ale rysować zaczynam od oczu. One są najważniejsze w portrecie, nadają twarzy wyrazu. Dobrze zrobione oczy to podstawa udanego portretu. Potem dopiero robię tło, różne szczegóły.

Czy każdego rysuje się jednakowo?

– To prawda, są osoby „łatwe” do portretowania i trudniejsze. Ale czasem nie wiadomo, dlaczego wyraźnie nie idzie. Nigdy nie odpuszczam, walczę, nawet robiąc drugi rysunek, zaczynając pracę od nowa. Co prawda, zdarzyło mi się też robić udaną, skończoną karykaturę drugi raz. Bo zjadł ją pies albo któraś z córek coś mi dorysowała. Nie ma dla mnie różnicy, czy portretuję kobiety, czy mężczyzn. Ważniejszy jest typ urody, rodzaj uśmiechu. Wiadomo, że łatwiej się rysuje osoby o wyrazistszych rysach, mających jakieś widoczne cechy budowy anatomicznej. Ale jak widzę w oczach energię – to zawsze idzie mi znakomicie.

Często i chyba wszędzie można spotkać karykaturzystów – na deptakach w miejscowościach turystycznych, podczas imprez. Czy podglądasz ich?

– Tak, podglądam innych rysowników – portrecistów i karykaturzystów. Z ciekawości i zawsze można się czegoś nowego nauczyć.

Czy to zajęcie to sposób na utrzymanie się?

– Można się z tego utrzymać, choć wymaga to dużo pracy i dobrej organizacji. Wcześniej nie miałam na to zbyt wiele czasu, teraz się rozkręcam. I mam różne plany, np. myślę o wystawie karykatur znanych koszalinian. Oprócz rysowania twarzy ludzkich także maluję. To znaczy po latach przerwy zaczynam wracać do malarstwa. Chcę doskonalić się w szlachetnej technice oleju. Ale mam też już zamówienie na portret i to w formacie 100x80! Będzie co robić.

Jesteś absolwentką koszalińskiego plastyka, studiowałaś na Wydziale Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej, ale to nie jest jedyne twoje przygotowanie do parania się sztuką?

– Moje życie to sztuka, kreacja, zawsze tworzyłam, od dziecka. Nie miałam wyjścia. Mama jest plastyczką, tata jako dekorator sal eventowych też blisko. Moje córki – Helenka (10 lat) i Józia (3 lata) już spędzają czas wolny najchętniej z ołówkiem czy z kredkami w ręku. Ich tata także jest plastykiem, więc to dla nich normalne. Helenka nieźle rysuje, ma szybką kreskę i chętnie rysuje komiksy. Młodsza jest na etapie rysowania ludzi-kotów.

Lubisz patrzeć na ludzkie twarze, nie tylko podczas rysowania?

– Tak, uwielbiam patrzeć na nie, rejestruję je sobie w pamięci. Patrzę oczywiście ukradkiem, ale czasem potrafię się „wgapić”. Zaczynam myśleć o fotografii portretowej, muszę jednak zrobić jakiś kurs, bo nie jestem w tym za mocna.

Wiem, że rysowanie karykatur to nie jest twoje jedyne zajęcie...

– Następny projekt to arteterapia – na razie pomysł, który dopracowuję. Tymczasem poszłam na kurs i zdobyłam uprawnienia czeladnika bioenergoterapeuty. Pomagam ludziom w usuwaniu różnych bólów, harmonizuję energetykę, wspomagając medycynę konwencjonalną. Już wiem, że potrafię pomóc, bo mówią o tym moi klienci. Najlepszą rekomendacją jest to, że moja mama, sceptycznie nastawiona do takich metod – od pierwszego kontaktu zgłasza się do mnie z każdą dolegliwością. ■

Z WIDOWNI DO KRÓTKIEGO METRAŻU

Karol Lindholm to reżyser, scenarzysta i operator kamery. Urodził się w 1990 roku w Koszalinie. Absolwent V Liceum Ogólnokształcącego. Kształcił się w Szkole Filmowej im. Krzysztofa Kieślowskiego w Katowicach na Wydziale Operatorskim, studiował też filozofię na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu i na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Mieszka w Polsce, ale swego czasu przebywał także w Szwecji i w Danii. Na co dzień pracuje przy filmach dokumentalnych, fabularnych i przy serialach telewizyjnych. Jego krótkometrażowe produkcje dostają nagrody na całym świecie. Ma w oku to coś, co sprawia, że obraz, który nam przedstawia, zachwyca i wywołuje ciarki. Tak było chociażby w przypadku etiudy szkolnej „Lato”, za którą otrzymał Srebrną Kijankę na Festiwalu Camerimage. Natomiast „Wnętrze Lwa” to nietuzinkowa propozycja o duńskim zoo, gdzie zwiedzający doświadczają dość nietypowego zdarzenia, które w tamtym miejscu jest na porządku dziennym. Nie można nie wspomnieć również o filmie „Ostatni gwizdek”, który otrzymał nominację do konkursu krótkich metraży podczas 40. Koszalińskiego Festiwalu Debiutów Filmowych „Młodzi i Film”. Obecnie pracuje nad swoim pełnometrażowym debiutem.

Tekst: Magdalena Wojtaszek

Zdjęcia: David Bajerski, Sylwia Olszewska, materiały prasowe Studio Munka

Można śmiało powiedzieć, że historia zatacza koło. Kiedyś byłeś widzem podczas Festiwalu Debiutów Filmowych „Młodzi i Film”, a teraz to twój krótki metraż można obejrzeć w bloku konkursowym. Jakie to uczucie?

– To jest supersprawa. W końcu w trakcie tego samego festiwalu w mojej głowie zrodził się pomysł, żeby zostać filmowcem. Ścieżka nie była łatwa. Najpierw studiowałem filozofię, a później – po czterech latach – dostałem się na sztukę operatorską do Szkoły Filmowej im. Krzysztofa Kieślowskiego w Katowicach. A 30’ („Ostatni gwizdek”) jest pierwszym filmem fabularnym zrobionym już po szkole. Teraz przygotowuję się do swojego pełnometrażowego debiutu w Mistrzowskiej Szkole Reżyserii Andrzeja Wajdy.

Tym bardziej że historia przedstawiona w filmie „Ostatni gwizdek” jest opowieścią z naszego regionu i tu również była kręcona. O czym dokładnie jest?

– Cała akcja dzieje się na plaży w Łazach oraz w Zatoce Gdańskiej. Film opowiada o przygotowaniach młodego chłopaka do przepłynięcia długiego dystansu z Helu do Gdyni w pływ. Historia mi bliska ze względu na to, że jestem absolwentem Sportowej Szkoły Podstawowej nr 1 w Koszalinie, więc myślę, że pływanie i motyw sportu bardzo mocno ukształtował mój charakter. Dalej intensywnie pracuję i dążę do spełniania swojego określonego celu, więc faktycznie jest tak, że cała historia bazuje na moich doświadczeniach i na tym, jak ja przygotowywałem się do bycia młodym ratownikiem razem z dwójką braci i z ojcem. Wiadomo, że najłatwiej czerpać ze swojego wnętrza, opowiadając, a na pewno jest to też bardzo ciekawe, żeby pokazać fragment naszego regionu, czyli to miejsce, gdzie się wychowaliśmy. Wydaje mi się, że zbyt dużo filmów na ten temat nie powstało i jest to ważne.



Wziąłeś na swój warsztat żywioł, jakim jest woda. Nie było to łatwe zadanie, jak domyślam się, żeby ją okiełznać z kamerą...

– Same zdjęcia były bardzo trudne, bo wydaje mi się, że w trakcie realizacji Olaf Śnioch – główny bohater – miał 15 lat i zależało mi na tym, żeby uchwycić to jak najbardziej prawdziwie, to całe podejście do sportu, ale też dlatego wskoczyłem sam z filmową kamerą i do morza, i do zatoki. Wydaje mi się, że mieliśmy łącznie trzy lub cztery pełne dni zdjęciowe na wodzie z całym zabezpieczeniem, włącznie z nurkami, którzy byli na dnie. Warto też opowiedzieć przy okazji anegdotę związaną z aktorem grającym drugoplanową rolę ojca w filmie. Przemysław Bluszcz zadzwonił do mnie i zapytał, czy nie udałoby się przepisać trochę scenariusza, bo on tak średnio pływa i bał się Zatoki Gdańskiej, wykonania zdjęć stricte w wodzie. Ostatecznie zadziałało to wręcz przeciwnie. Nie była to wada, tylko walor całej historii. Jaki był

PROFESJONALNE OSTRZENIE

- nożyczek fryzjerskich, groomerskich, chirurgicznych, krawieckich -

- ostrzy do maszynek fryzjerskich i groomerskich -

- noże kuchennych, myśliwskich, sekatorów -

- nożyc do blachy, ogrodniczych, ostrzy do kosiarek, siekier -

- nożyków i sitek od maszynek do mielenia mięsa -

- cążek do skórek -

- AUTORYZOWANY PUNKT KOPIOWANIA KLUCZY -

ul. Władysława IV 22 (w wieżowcu-niski parter)

pon. - pt. | 10:00-17:00

Tomasz Kuderko

tel.: 605 269 475

AUTORYZOWANY PUNKT KOPIOWANIA KLUCZY

GERDA • LOB • WILKA • ABUS • MUL-T-LOCK

tel. 605 269 475

CZYNNE: 10.00-17.00 SOBOTA: NIECZYNNE

KOSZALIN, UL. WŁADYSŁAWA IV 22

(NISKI PARTER W WIEŻOWCU OBOK DAWNEGO SKLEPU „INTERMARCHE”)

- kodowanie kluczy do samochodów z immobilizерem
 - przekładanie transponderów z kluczy wyrobionych lub złamanych – nowe obudowy do pilotów samochodowych
 - programowanie pilotów samochodowych oraz kluczy zbliżeniowych KEY LESS
 - klucze tzw. szczyrki oraz obudowy
- sprzedaż: baterii do pilotów samochodowych i bramowych, wkładek, kłódek i breloczków do kluczy
- kopiowanie kluczy standardowych samochodowych oraz specjalnych - grawerowanych
- naprawy zamków i stacyjek samochodowych
- zgubione ostatnie klucze – odtwarzanie na podstawie zamka lub stacyjki
- przerabianie zamków samochodowych pod klucz klienta
- kopiowanie kluczy do motorów i ciężarówek
 - blokad skrzyni biegów
 - alarmów i lasek samochodowych, bagażników dachowych
 - maszyn budowlanych, wózków widłowych, łodzi itp.
- klucze do skrzynek listowych oraz do skrzynek elektrycznych i alarmowych
- kopiowanie kluczy mieszkaniowych standardowych oraz specjalnych nawiercanych także atestowanych: gerda, lob, mcm, abus, kasta, abloy, wilka, evva, mul-t-lock, iseo, dom, vbh, chińskie, winkhaus, burg, bks, axa, kaba, keso



— PROFESJONALNE OSTRZENIE —

- nożyczek fryzjerskich (klasycznych, offsetowych, degażówek), groomerskich i chirurgicznych
- ostrzy do maszynek fryzjerskich i groomerskich
- noże kuchennych – profesjonalnych





efekt? Można zobaczyć na końcu filmu. Bardzo było mi miło, że ludzie z Koszalina odwiedzili blok konkursowy z filmem „Ostatni gwizdek”.

Wróćmy jeszcze do poprzednich edycji festiwalu „Młodzi i Film”, kiedy to siedziałeś na widowni. Skąd w ogóle pasja do kinematografii wzięła się u ciebie?

– Pamiętam ten festiwal jeszcze z czasów gimnazjum, ale też było tak, że podczas jednej z edycji byłem fotografem. W liceum robiłem bardzo dużo zdjęć, a potem będąc na pierwszym roku studiów w Poznaniu przygotowywaliśmy takie krótkie kroniki, które były wyświetlane w trakcie festiwalu „Młodzi i Film”.

W filmie „Ostatni gwizdek” oprócz tego, że wykorzystałeś bliską koszalinianom przestrzeń, to jeszcze zadbałeś o to, żeby w twojej produkcji pojawili się mieszkańcy tego miasta, chociażby wspomniany przez ciebie już Olaf Śnioch...

– Tak, cały casting przeprowadziliśmy razem z Krystyną Dobrzańską, koleżanką ze szkoły, staraliśmy się wykonywać na alokacji, bo głównym miejscem naszych zdjęć była plaża między Mielnem a Łazami. Między innymi głównego bohatera – Olafa Śniocha – znalazłem w Sportowej Szkole Podstawowej nr 1, więc historia znowu zatoczyła koło. Natomiast Małgorzata Bekisz chodziła na zajęcia aktorskie do Pałacu Młodzieży i tam również prowadziłem casting, bo kiedyś sam chodziłem do tej placówki. W sumie to bardzo osobista historia. Też zależało mi na zamknięciu pewnego etapu w moim dorastaniu, bo film jest z gatunku coming-of-age. Chociaż wydawałoby się ostatnio, że powinienem dorosnąć, ale kto wie... (śmiech).

To już kolejna twoja nominacja do konkursu podczas festiwalu „Młodzi i Film”, bo mogliśmy już kiedyś oglądać krótki metraż „Wnętrze Lwa”, ale interesuje mnie, nad czym teraz pracujesz. Wiem, że po drodze byłeś operatorem kamery w serialu „Osiec-

ka”, później „Hotel Europa”, ale śledząc twoje media społecznościowe, widać, że dzieje się znacznie więcej, pracujesz nad swoim pełnometrażowym debiutem. Zdradź nam coś więcej...

– Zaczęłem pracę z Aleksandrą Zielińską, pisarką, nad swoim prestiżowym debiutem. Dostałem się na prestiżowy program Mistrzowskiej Szkoły Reżyserii Andrzeja Wajdy, który nazywa się „Ekrany+”, a ci, którzy tam zaczynali, to m.in. Magnus von Horn, Agnieszka Smoczyńska, więc jest to bardzo ważny projekt. A jeśli chodzi o historię, to będzie mi również bliska i łączy dwa brzegi Morza Bałtyckiego i na razie nic więcej nie chcę mówić. Tym bardziej że to się zrobiło takie bardzo na poważnie, więc nie chcę zapeszać. Sam program „Ekrany+” jest zaawansowanym developmentem filmu pełnometrażowego, który pozwoli stworzyć pełną strukturę wizualną, skończyć scenariusz i wtedy dopiero, po ukończeniu, będziemy mogli ubiegać się o dofinansowanie. Wydaje mi się, że zanim jeszcze będę mógł was wszystkich zaprosić do kin, to miną minimum dwa lata.

Znajdujesz czas jeszcze na inne pasje?

– Tak, staram się znajdować czas, choć nie jest łatwo. W trakcie pandemii nauczyłem się latać dronami FPV, oprócz tego że- głuję, dwa poprzednie weekendy spędziłem na regatach Lotos Nord Cup na łódce „Marco Polo” – zajęliśmy dwa pierwsze miejsca w swoich klasach, ścigając się między innymi z Sailing Poland. Uwielbiam poznawać ludzi i to chyba jest moja największa fascynacja.

A jakie masz plany na przyszłość?

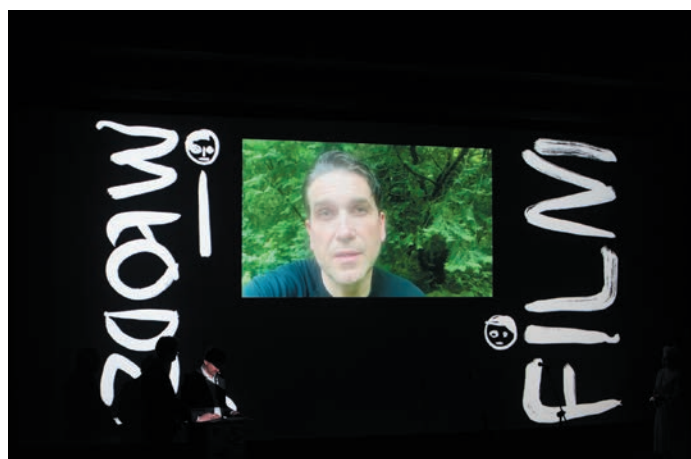
– Przygotowuję się do swojego pełnometrażowego filmu i to będzie teraz dla mnie priorytetem. Staram się nie myśleć o tym, gdzie widzę siebie za parę lat, bo to zwykle się nie udaje, ten zawód jest bardzo dynamiczny; wszystkie plany potrafią się zmienić w ciągu kilku godzin. Mam nadzieję, że nie znudzę się swoją pracą i wciąż będę robił filmy takie, jakie chcę. ■

JUBILEUSZOWA EDYCJA FESTIWALU

Za nami 40. Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film”. Najważniejszą nagrodę festiwalu, czyli Wielkiego Jantara, zdobył Mariusz Wilczyński za film „Zabij to i wyjedź z tego miasta”. Nie zabrakło także nagrody specjalnej – Jantara 40-lecia dla Magdaleny Łazarkiewicz za produkcję „Ostatni dzwonek”.

Zdjęcia: Magda Pater





CARSKIE SIOŁO

Sankt Petersburg otaczają wspaniałe rezydencje, a perłą w tej koronie jest Carskie Sioło, które swój obecny wizerunek zawdzięcza trzem wielkim damom Imperium Rosyjskiego – Katarzynie I, Elżbiecie i Katarzynie II. Ich wizjom najpiękniejszy z możliwych kształt nadawali czołowi europejscy artyści – architekci, malarze, rzeźbiarze i projektanci ogrodów. I kiedy otwiera się przed nami ozdobna ażurowa brama wiodąca do rezydencji, wchodzimy w odległy, nierealny i także piękny świat. Świat carów.

Tekst i zdjęcia: Izabela Nowak

Gdyby Katarzyna I, małżonka Piotra Wielkiego, lubiła morskie krajobrazy, prawdopodobnie królewska para wspólnie cieszyłaby się pięknym położonego nad Bałtykiem Peterhofu, a Carskie Sioło pozostałoby małą, nikomu nie znaną wioską. Jednak czarnooka piękność od podmuchów morskiej bryzy wolała łagodniejsze klimaty. Imperator, który swojej ukochanej podarowałby nawet i gwiazdkę z nieba, zbudował więc dla niej pałac w miejscu oddalonym od morskiego brzegu.

Początkowo był to niewielki, otoczony skromnym parkiem, kamienny budynek, który po swej mamie odziedziczyła córka Katarzyny – caryca Elżbieta. Zakochana w pięknych strojach i bogatych rezydencjach imperatorowa zmieniła Carskie Sioło w konstelację pałaców i pawilonów. Prawdziwie królewski wygląd nadał pałacowi genialny architekt Bartolomeo Carlo Rastrelli. Teraz możemy oglądać imponujący ogromem pałac z fasadą liczącą około 400 metrów, któremu ostateczny kształt nadała kolejna wielka dama – Katarzyna II.

PASTELOWA SYMFONIA „SEMIRAMIDY PÓŁNOCY”

Błękit, biel i złoto – takie barwy dominują w kolorystyce pałacu, ozdobionego marmurowymi rzeźbami, kolumnami, delikatnymi balustradami i finezyjnie skomponowanymi sztukateriami. Lśnią złotem kopuły carskiej cerkwi wkomponowanej przemyślnie w pałacową architekturę. To mistrzowskie osiągnięcie rosyjskiego baroku nie zadowoliło jednak Katarzyny II Wielkiej, kolejnej właścicielki Carskiego Sioła. Bowiem zakochana w sztuce antycznej „Semiramida Północy” była wielbicielką klasycyzmu.

Rozpoczęła się kolejna przebudowa. Szkocki architekt Charles Cameron uszlachetnił barokowe szaleństwo kąpiących od złota pałacowych komnat. Jego dziełem są wysmakowane, odznaczające się doskonałością proporcji i subtelnością elementów dekoracyjnych carskie pokoje z Błękitnym Salonem na czele. W tej inspirowanej sztuką starożytną komnacie ściany wyłożono drogocennym wzorzystym jedwabiem, a lśniąca posadzkę skomponowano z najcenniejszych, fantazyjnie ułożonych gatunków drewna. Jej wzór znajduje swoje odbicie w malowidłach zdobiących sufit salonu.

Prawdziwym arcydziełem jest elegancka i bardzo kobieca sypialnia, utrzymana w tonacji zgaszonego błękitu i ozdobiona filigranowymi kolumnienkami. W tej intymnej komnacie prawdziwy zachwyt budzą również wzorowane na ściennych malowidłach pompejańskich willi rzeźbione ściennie paneau, sławiące uroki

rodzinnego życia. Prosto z sypialni Katarzyna mogła przejść do malowniczego Wiszącego Ogrodu, pełnego bzów, jaśminów i róż.

Carskie Sioło stało się ulubioną letnią rezydencją potężnej carycy. Cameron dobudował również do pałacu zdobioną 40 kolumnami galerię, gdzie umieszczono brązowe popiersia antycznych filozofów, artystów i władców. I jak tu się dziwić, że wielka dama pokochała Carskie Sioło? Że właśnie do tej bajkowej rezydencji najchętniej zapraszała swoich przyjaciół, wśród których z pewnością znajdował się także jeden z jej ulubionych faworytów – zaledwie 22-letni Aleksander Łański. Dlaczego właśnie ten młodzieniec kojarzony jest z Carskim Siołem? Otóż na terenie posiadłości wzniesiono wiele pomników. Jeden z nich zdobi... grób Aleksandra. Przyczyny przedwczesnej śmierci faworyta nie są znane, ale jak widać, Katarzyna nawet po śmierci młodego kochanka, nie mogła się z nim rozstać...

W ROMANTYCZNYM PARKU

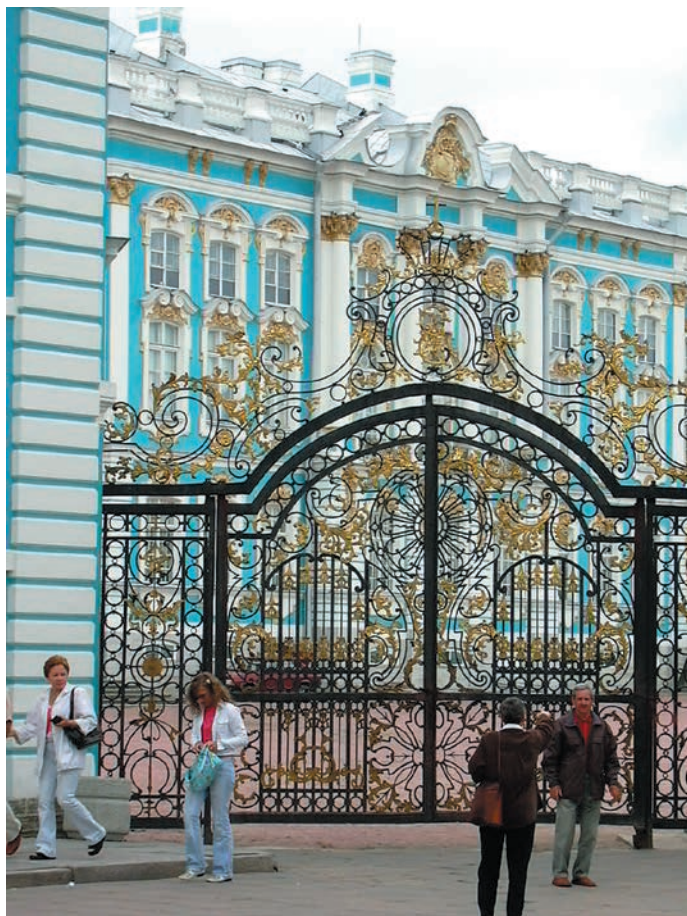
Dziełem Katarzyny II jest również otaczający pałac romantyczny park krajobrazowy, pełen egzotycznych roślin, cienistych alejek, mostów, stawów, kaskad i malutkich sadzawek. Głównym akcentem tej parkowej kompozycji jest rozległy Wielki Staw, po którym „Semiramida Północy” pływała w złożonych gondolach, podziwiając zapewne wynurzającą się z wody 14-metrową Kolumnę Czesmeńską – okazałą pamiątkę zwycięstwa Rosjan nad flotą turecką. Pośrodku stawu usypano sztuczną wyspę.

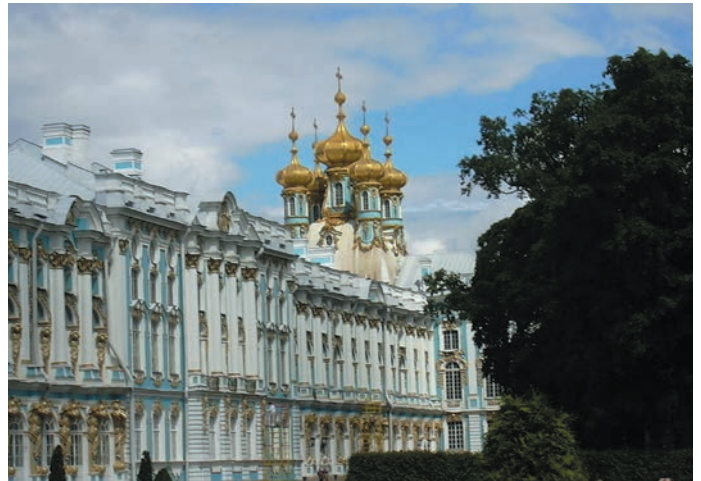
Godna uwagi jest stylowa ogrodowa architektura – szczyt europejskiej mody XVIII wieku. Do najpiękniejszych obiektów należy z pewnością Pawilon Poranny, wyłożony różowo opalizującymi muszelkami o fantazyjnych kształtach. Przechadzając się z wolna po starannie utrzymanych alejkach podziwiamy trzy kolejne, zbudowane z czerwonej cegły pawilony, następnie architektoniczną ciekawostkę – jasnoróżową, stylizowaną na meczet Łazienkę Turecką oraz najbardziej niezwykły architektoniczny klejnot, czyli słynne Agatowe Komnaty ze ścianami wyłożonymi uralским marmurem i mozaiką skomponowaną z różnych gatunków jaspisu.

BAROKOWY PRZEPYCH

Po spacerze wracamy do pałacu, gdzie zwiedzimy zadziwiający barokowy przepych pałacowych komnat. Podobno jest ich aż tysiąc, ale dla publiczności udostępniono 20, tych najbardziej reprezentacyjnych.







Zaprojektowana przez Rastrellego Wielka Sala Tronowa była miejscem, gdzie odbywały się najbardziej wystawne przyjęcia i bale. To olśniewająca zarówno ogromem (800 metrów!), jak i przepychem dekoracji komnata. Blask rzucany przez 50 żyrandoli odbija się dziesiątkach luster, a w wykuszach ustawiono złożone rzeźby. Olbrzymi plafon pokrywa alegoryczne malowidło o wymownym tytule „Triumf Rosji”, namalowane w 1755 roku przez Giuseppe Valerianiego. Równie okazała jest galeria obrazów, wypełniona cennymi płótnami zachodnioeuropejskich malarzy XVII i XVIII wieku. Zdziwiają również urodą i oryginalnością dwie jadalnie – Rycerska i Malinowa oraz utrzymany w spokojnym oliwkowym odcieniu Zielony Gabinet.

Nie tylko wspomnienia wielkich bali, wystawnych przyjęć, ulubionych przez carskie rodziny maskarad, uroczystych audiencji czy wielkich miłości, tworzą atmosferę Carskiego Sioła. Nie można przecież zapomnieć, że ta wspaniała rezydencja była również świadkiem smutnych wydarzeń z historii Rosji. To tutaj po wymuszonej abdykacji został wraz z rodziną uwięziony ostatni z rosyjskich carów – Mikołaj II...

ÓSMY CUD ŚWIATA

Wciąż trwa restauracja pałacu po zniszczeniach, jakich doznało Carskie Sioło w czasie II wojny światowej. Kolejnym pałacowym pomieszczeniom przywracany jest dawny blask. Wśród nich znajduje się najcenniejszy klejnot Carskiego Sioła. To oczywiście legendarna Bursztynowa Komnata, zwana (i słusznie!) ósmym cudem świata. Dziś podziwiać możemy pieczołowicie odtworzoną przez rosyjskich artystów replikę bursztynowego cudu – symfonię złota, brązu, beżu, oranżu i purpury.

Legenda Bursztynowej Komnaty narodziła się na dworze Fryderyka I. W 1701 roku ten pruski monarcha wpadł na ekstrawagancki pomysł wyłożenia ścian swego gabinetu bursztynowy-

mi mozaikami. Przez osiem lat najbieglejsi europejscy jubilerzy nadawali artystyczny kształt wizjom pruskiego władcy, wyrabiając z różnych gatunków bałtyckiego jantaru bursztynowe panele, kandelabry, płaskorzeźby przedstawiające sceny biblijne, posągi greckich boginek i roślinne symbole pruskiej monarchii. Niezwykły bursztynowy gabinet szybko zyskał gorącego wielbiciela – cara Imperium Rosyjskiego, Piotra I. Ten wielki miłośnik i mecenas sztuki pokochał bursztynowe чудо i otrzymał komnatę w prezencie Fryderyka Wilhelma, następcy Fryderyka I.

Tak oto w dziejach Bursztynowej Komnaty rozpoczął się etap „rosyjski”, trwający ponad 200 lat. Przez cztery dekady jantarowe panele zdobiły jedną z komnat Pałacu Zimowego. Dopiero w 1743 roku zostały przewiezione do Carskiego Sioła. Najbardziej dostojnych spośród odwiedzających tę rezydencję gości, przyjmowano właśnie w legendarnej już Bursztynowej Komnacie. Niezliczone płomyki świec podkreślały urodę lśniących ścian. Fantazyjnie zestawione płatki bursztynu. Jedne – świetliste przejrzyste, inne – tajemniczo zamglone, mieniły się wszystkimi kolorami złota, brązu, beżu, gorącego oranżu i głębokiej purpury. Gdy do komnaty wpadały słoneczne promienie, widok bursztynowego arcydzieła zapierał dech w piersiach...

Podczas II wojny światowej Carskie Sioło zostało zdobyte przez niemiecką armię i najeźdźcy postanowili przenieść Bursztynową Komnatę do zamku w Królewcu. I właśnie tu urywa się wszelki ślad. Może bursztynowe arcydzieło spłonęło podczas wielkiego pożaru w Królewcu? A może zostało ukryte w innym miejscu? Nie wiadomo...

Dziś Bursztynowa Komnata jest przedmiotem marzeń wszystkich poszukiwaczy skarbów. A szukać naprawdę warto, gdyż bursztynowe чудо wyceniono na 150 milionów dolarów! Ten unikat na skalę światową wciąż pozostaje najbardziej intrygującą tajemnicą w dziejach historii sztuki. ■

ERYK W DARŁOWIE

Skoro możliwość podróżowania po szerokim świecie jest nadal bardzo niepewna i decyzje wyjazdowe w tym zakresie coraz bardziej przypominają grę na giełdzie, może warto wykorzystać ten czas i rozejrzeć się po naszej pomorskiej okolicy? Środkowe Pomorze w naszym kraju raczej kojarzy się z plażami i rozkosznym grillowaniem ciała w ultrafiolecie, jednak nasz region wcale nie jest pozbawiony prawdziwych turystycznych atrakcji. Niektóre to wręcz perły historyczne warte bliższego zapoznania, tym bardziej że leżą w zasięgu jednodniowej wycieczki z Koszalina.

Tekst i zdjęcia: Robert Nawrocki

Ile mamy w Polsce miast z królewskimi pochówkami? Na pewno każdy wymieni Kraków z Wawelem, większość przypomni sobie o Poznaniu, niektórzy wspomną o Płocku. Miejscowości jest, co prawda, więcej, ale nie wszyscy władcy polscy byli formalnie koronowani. Niektórzy królowie pochowani są poza granicami dzisiejszej Polski – we Francji, w Niemczech czy na Litwie. Ale jest u nas w kraju miejsce szczególne, wręcz unikatowe na skalę europejską – grób króla aż trzech krajów: Danii, Norwegii i Szwecji, który w pobliskim Darłowie znalazł wieczny spoczynek. To Eryk Pomorski.

WŁADCA O WIELU TOŻSAMOŚCIACH

Eryk, jak przystało na prawdziwego władcę, oczywiście „posiadał swój numer”, jako że panował w kilku krajach, w każdym z nich był inaczej nazywany – w Norwegii był Erykiem III, w Szwecji Erykiem XIII, a w Danii – Erykiem VII. Na dodatek jako książę słupski i stargardzki był Erykiem I.

W żyłach króla płynęła polska krew po ojcu księciu Wacławie z rodu Gryfitów. Eryk przyszedł na świat w zamku darłowskim w 1382 roku, a na chrzcie dano mu imię Bogusław. Jako że matką Bogusława była Maria, wnuczka króla duńskiego Waldemara, Eryk miał naprawdę szerokie koneksje w wyższych sferach naszego bałtyckiego regionu Europy. W wyniku przeróżnych meandrów historii i zabiegów jego skandynawskiej ciotki po kądzieli – Małgorzaty, nasz Eryk w wyniku tzw. unii kalmar-

skiej objął tron trzech krajów skandynawskich, przyjmując bardziej germańskie imię Eryk z adekwatną numeracją. Historia nabrała przyspieszenia, bowiem Eryk zdecydowanie nie sprawdzał się w roli króla, nieustannie zarzucano mu, że nie radzi sobie i faworyzuje jedno królestwo kosztem pozostałych.

OD KRÓLA DO... KORSARZA

Może Eryk się starał, może mu się już numery myliły, którym jest Erykiem w którym królestwie, dość powiedzieć, że władcę pozbawiono urzędu i musiał udać się koniec końców do swego darłowskiego matecznika, osiadając w zamku. Były król przywykł do życia na wysokiej, obutej aksamitem stopie i gwałtowny spadek dochodów skłonił go do szukania alternatywnych źródeł wiązania końca z końcem. Pomysł był godny wikinga (po kądzieli) – król zajął się korsarstwem na Bałtyku. Być może traktował to zajęcie jako ściąganie zaległych podatków, bowiem raczył być łupić statki swoich byłych poddanych, czym bardziej utwierdzając ich w słuszności podjętych decyzji detronizacyjnych.

Tu dygresja – czy król aby nie stoczył się moralnie do rabunku? Otóż, niekoniecznie. Jaka jest bowiem różnica pomiędzy piratem a korsarzem? Pirat jest bandziorem obszaru prywatnej inicjatywy, rabującym, mordującym i gwałcącym na własny rachunek. Korsarz to osoba wynajęta przez władcę, aby rabować, mordować i gwałcić, ale już nie jako bandzior, tylko specjalista od uzupełniania dochodów skarbu państwa drogą gwałtownej rekwizycji







dóbr, uzyskiwanych metodami niepodlegającymi negocjacom z przepływających okrętów pod obcą banderą. Najsłynniejszym korsarzem w dziejach był Francis Drake na usługach angielskiej królowej Elżbiety I, w imieniu której legalnie rabował, mordował i gwałcił (to być może) całkowicie legalnie.

POCHÓWEK W DARŁOWSKIEJ ŚWIĄTYNI

Eryk prosperował całkiem chyba dobrze, bowiem podobno dorobił się majątku i to nie prosząc poddanych o podwyżkę. Pochowano go po śmierci w 1459 roku w darłowskim kościele NMP Wniebowziętej (dziś jest pod wezwaniem Matki Bożej Częstochowskiej), położonym w samym sercu miasta, tuż obok pięknego rynku. Kościół zachował się znakomicie i reprezentuje typowy dla średniowiecznej północy Europy gotyk ceglany. Ten styl jest bardzo charakterystyczny dla obszaru ciągnącego się od Danii przez północno-wschodnie Niemcy, Polskę aż do Królewca. Południe Europy zdecydowanie preferowało kamień jako materiał budowlany. Francja, prekursorka gotyku, wybrała piaskowiec, tworząc najsłynniejsze i najpiękniejsze katedry Europy z Notre Dame na czele.

Wnętrze kościoła jest dosyć ubogie w wyposażenie, czemu winny jest piorun, który w 1679 roku spowodował katastrofalny pożar obiektu (piorunochron to wynalazek, który pojawił się 100 lat później). Ale na pewno największą ciekawostką kościoła jest kaplica, w której wystawiono sarkofagi książąt pomorskich: Eryka I, Elżbiety, zmarłej w 1653 roku żony ostatniego pomorskiego księcia Bogusława XIV, oraz Jadwigi, żony Ulryka, brata Bogusława XIV. Sarkofag Eryka znajduje się pośrodku i nie jest to obiekt oryginalny z czasów pochówku – pochodzi z XVIII wieku i jest darem cesarza niemieckiego. Cynowe sarkofagi po bokach są jak najbardziej oryginalne i o dużej wartości artystycznej.

Podobno gdy po raz pierwszy otworzono oryginalną trumnę Eryka, znaleziono w niej złotego gołębia... Ale był to być może nie gołąb, a kaczka, nie złota, a... dziennikarska. Tak czy inaczej, legenda o złotych skarbach ukrytych przez króla Eryka ma się dobrze i na pewno przetrwa „złoty pociąg” z podobnej branży.

Z WIZYTĄ NA ZAMKU

Parę minut spaceru od szczytków Eryka położony jest jego zamek. Określany jest jedynym zamkiem nadmorskim w Polsce, choć od morza oddalony jest o jakieś trzy kilometry. Sam zamek leży pomiędzy rzeką Wieprzą i kanałem młyńskim, bowiem budowlą zaczynała swą karierę od młyna.

Zamek był wielokrotnie przebudowywany, choć nigdy nie osiągnął wielkich rozmiarów. Z czasem stał się własnością duńskiej rodziny królewskiej aż do 1912 roku w wyniku rodzinnych koligacji. Należy dodać, że o ile postać najsławniejszego lokatora zamku, czyli Eryka (w tym przypadku już pierwszego, skoro innych królewskich numerów go pozbawiono) była bardzo dwuznaczna, to jednak z czasem stał się postacią tak popularną w Danii, że w 1926 roku w miejscowości Helsingør wystawiono mu okazały pomnik. Również w Viborgu widnieje na pomniku, ale jako mały chłopak w towarzystwie inicjatorki jego koronacji, czyli ciotki królowej Małgorzaty. W Norwegii nadal go nienawidzą, a w Szwecji mają stosunek obojętny. Chyba jednak współcześni mieli rację co do stronniczości Eryka, który najwyraźniej preferował cyfrę VII spośród pozostałych tytułarnych. Król doczekał się również pomnika czy raczej posągu naturalnej wielkości na dziedzińcu swojego zamku.

NIEWYKORZYSTANY POTENCJAŁ

Chociaż Eryk wielką postacią w polskiej historii nie był, to mógł! Zaproponował królowi Władysławowi Jagielle unię polsko-litewsko-skandynawską. I to byłaby historia! Zważywszy, że Eryk Pomorski był królem nie tylko Danii, Szwecji i Norwegii, ale również władcą Islandii i Grenlandii, być może z czasem powstałoby Królestwo Polskie, które rozciągałoby się od Morza Czarnego przez Bałtyk do Oceanu Atlantyckiego, a poddanymi zostaliby również Eskimosi?

Po usatysfakcjonowaniu potrzeby wiedzy informacjami historycznymi, nasyceniu wzroku doznaniem estetycznymi, można zaspokoić jeszcze potrzeby gastronomiczne na pięknym, darłowskim rynku i wyruszyć dalej do Sławna, Słupska i Kręgu... ■



★EUROSPORT
TOKYO 2020


HOME OF THE OLYMPICS

**CZAS NA NAJWIĘKSZĄ
IMPREZĘ ŚWIATA!**

23 LIPCA - 8 SIERPNIA

★EUROSPORT 1 ★EUROSPORT 2





ZAMEK ZAPRASZA NIE TYLKO W WAKACJE

Rozmowa z Karolem Matusiakiem, dyrektorem Muzeum w Darłowie,
mieszczącego się w Zamku Książąt Pomorskich

Tekst: Tomasz Wojciechowski

Zdjęcie: materiały Muzeum w Darłowie

Jaką placówką jest muzeum, mieszczące się w zamku? To chyba ewenement, by praktycznie cały obiekt oddać pod potrzeby wystaw i zwiedzających je gości.

– Zamek Książąt Pomorskich jest przede wszystkim instytucją kultury. To muzeum utworzone na terenie całego obiektu. Mamy ten komfort, że cały zamek jest własnością organizatora, czyli Darłowa i daje nam to wiele możliwości. Cofnę się tu trochę do historii, odkąd muzeum powstało 1 lipca 1930 r. Nieprzerwanie trwa do dnia dzisiejszego. Nawet gdy w marcu 1945 r. żołnierze Armii Czerwonej trafili do Darłowa, to już w lipcu tego samego roku uruchomiono nasze muzeum z polską administracją. Nasz zamek miał to szczęście, że nie ucierpiał wzorem innych siedzib Gryfitów podczas II wojny światowej. Zamek Książąt Pomorskich w Darłowie pochodzi z połowy XIV w. i ma do dziś w dużej mierze oryginalną kubaturę. Warto jeszcze dodać, że gdy Eryk I Pomorski został królem Skandynawii, postawił tam zamek zbliżony wyglądem do darłowskiego, chociaż była to warownia dwa razy większa. To właśnie tam Szekspir umieścił w swym dziele Hamleta. Tak więc mamy 91 lat istnienia. Zamek w Darłowie składa się z części administracyjnej na dwóch poziomach, dla zwiedzających oddajemy do dyspozycji wszystkie kondygnacje w skrzydle wschodnim, piwnice, wieżę, szereg wystaw i ekspozycji oraz 4 tys. eksponatów w 12 komnatach.

Zatem co zamkowe muzeum ma do zaoferowania w czasie wakacji?

– Mamy już otwartą niezwykle ciekawą wystawę „miecze Europy”. Jest ona dostępna dla zwiedzających do końca września z możliwością przedłużenia tej ekspozycji. To pełna historia miecza i 60 replik białej broni. Są to głównie miecze takie jak np. słynne dwa miecze spod Grunwaldu czy mityczny Excalibur, ale też są elementy uzbrojenia. Już teraz wystawa cieszy się dużą popularnością, dotyka bowiem także kultury rycerskiej, europejskiej. Mieli w niej udział również książęta darłowscy w późnym okresie średniowiecza.

W jaki sposób?

– Wystawa ulokowana jest w XVIII-wiecznym pawilonie zachodnim, który kiedyś służył właśnie książętom jako miejsce do

trenowania szermierki. Można więc zasugerować stwierdzenie, że miecze powróciły na swe miejsce.

Do darłowskiego zamku można wybrać się również, by podziwiać niezwykle obrazy...

– Tak, już od 2 lipca można oglądać galerię złożoną z dwóch bardzo ciekawych obrazów. Pierwsze płótno jest autorstwa Jana Breughla Starszego, nosi tytuł „Porwanie Prozerpiny”. Obraz powstał w 1600 r. i jest pięknie eksponowanym unikatem. Drugi obraz to „Chłopcy z melonem i winogronami” malarza hiszpańskiego Bartolomé Estebana Murilla. Te dwa płótna prezentowane będą oczywiście w oprawie innych dzieł i rycin, wspomniane dwa dzieła stanowią kolekcję prywatną osoby, która woli pozostać anonimowa.

Sądzi pan, że muzea w świecie nowoczesnym, pełnym elektroniki, potrafią jeszcze czymś zaskakiwać? Są w ogóle potrzebne?

– Oczywiście, że są potrzebne. Mamy wakacje, a mimo to zjawiają się zwiedzający, którzy przyjechali do Darłowa nie tylko po to, by leżeć na plaży. Te osoby pragną kontaktu z kulturą. Rocznie odwiedza nas 90 tys. osób, w tym rodziny, wycieczki. Pandemia oczywiście trochę pokrzyżowała nam plany, ale czas od maja do końca września to zawsze wzmożony ruch. Mamy także coś ciekawego dla młodzieży. To skrzynka do geocachingu, czyli do zabawy w poszukiwanie skarbów za pomocą odbiornika GPS. Udało nam się to utworzyć dzięki współpracy z Urzędem Marszałkowskim w ramach projektu „Szlak Gryfitów”. Taka skrzynka znajduje się więc u nas na dziedzińcu i cieszy się dużą popularnością, oczywiście na odrywów czeka skarb. Druga fajna rzecz to quest – gra edukacyjna, w którą można grać za pomocą aplikacji, polegająca na rozwiązywaniu kolejnych zagadek, haseł i dotarciu do wyznaczonego celu. Dodam tylko, że w Polsce jest aż 509 punktów „questowych”. Darłowo pod względem zainteresowania i frekwencji jest na drugim miejscu w rankingu. Korzystając z okazji, chciałbym oczywiście wszystkich zaprosić do odwiedzenia naszego muzeum. ■



WAKACJE JASIA FASOLI

MASKA

© 2007 UNIVERSAL STUDIOS. ALL RIGHTS RESERVED.

© NEW LINE PRODUCTIONS, INC.

NIEDZIELE FILMOWE W
FOXcomedy

NIEDZIELE OD 14:50

© WARNER BROS. ENTERTAINMENT INC.

© 2013 WARNER BROS. ENTERTAINMENT INC.

KISS KISS BANG BANG

MILLEROWIE

MIECZ – COŚ WIĘCEJ NIŻ BROŃ

Rozmowa z Igorem Górewiczem, z wykształcenia politologiem, z pasji – autorem i wydawcą książek o broni białej, zafascynowanym kulturą i historią Słowian, konsultantem filmowym i odtwórcą

Tekst: Tomasz Wojciechowski, fot. archiwum prywatne

Jest pan właścicielem kolekcji „Miecze Europy”, którą możemy oglądać na Zamku Książąt Pomorskich w Darłowie. Co ona zawiera?

– To kilkadziesiąt mieczy, które dobrane są konkretnie pod tę wystawę, tak by pokazać rozwój tego typu broni i zastosowane przez 3,5 tys. lat technologie. Uzupełnieniem są tablice, gąbłoty, dokładne opisy i dwa filmy. Na jednym z nich pokazano proces kucia miecza średniowiecznego.

Miecze najczęściej kojarzą się ze średniowieczem, chociaż, jak wiemy, używano ich w starożytnej Grecji i Rzymie. Jak bardzo miecz, jako broń, zmieniał się w czasie?

– Gladiusy rzymskie, o których pan wspominał, to I, II wiek p.n.e. Miecz miał wtedy sporą historię, bo pojawił się w środkowej epoce brązu jakoś w 1700 r. p.n.e z przekształcenia sztyletu. Pierwsze miecze służyły do klucia. Pojawienie się miecza oznaczało też naukę walki tą bronią, musieli się nią posługiwać zawodowi wojownicy. W epoce brązu miecze były odlewane i pojawił się tzw. jelec, poprzeczka służąca do osłony dłoni przed przypadkowym ześlizgnięciem się po ostrzu. Miecze mykańskie na przykład miały takie osłony wygięte w górę, stąd nazwa „miecze rogate”. Potem pojawiły się miecze żelazne w Grecji, w VIII w. p.n.e., używali ich Spartanie. U Celtów miecze miały nawet metr długości, nadawano też swojej broni imię. Utożsamiano się z mieczem tak bardzo, że chowano broń razem z właścicielem. Miecze i uzbrojenie rzucano też do wody, aby odesłać je w zaświaty. Ma to swoje potwierdzenie w micie o Excaliburze, który wydobyla z wody Pani Jeziora. Podobnie czynili Germanie, umieszczając w grobie wojownika jego miecz.

I w końcu pojawił się miecz średniowieczny. Był ciężki?

– Średniowieczny, stalowy miecz rycerski ważył z reguły ok. 2 kg i mierzył 1,20 m. Był to miecz długi, chociaż zdarzały się miecze krótkie, jednoręczne. Wczesnośredniowieczny miecz był przekuty wielokrotnie, była to praca akademicka, wymagająca rzemiosła, fachu. Trzpień miecza musiał być elastyczny, ale ostrze musiało już być twarde, by wbić się we wroga.

Miecz był drogi?

– Był. Mimo że była to broń powszechna w użyciu, to biorąc pod uwagę technologię wykonania, wykorzystanie kruszców, srebra, ozdób w postaci szlachetnych kamieni, koszt był znaczny. Pamiętamy, że miecz był swojego rodzaju „wizytówką” właściciela. Nie można było nosić miecza, nie będąc rycerzem. Dla plebsu pozostawał sztylet lub tasak, bardzo popularna broń sieczna.

I tu dochodzimy do tego, że miecz jest symbolem pewnych rytuałów, utożsamiany jako odzwierciedlenie ideałów rycerstwa...

– Tak. Miecz był w średniowieczu utożsamiany z symbolem krzyża, co kształtowało rycerstwo europejskie, które miało walczyć w imię wiary chrześcijańskiej. Był też pewnym synonimem, używa-

jąc stwierdzenia „po mieczu” nawiązywano do linii męskiej rodu. Mimo upływu czasu, miecz nie stracił znaczenia symbolicznego. Weźmy choćby nasz polski Szczerbiec, będący mieczem władzy sądowniczej. Kopia krótkiego miecza Henryka V znajduje się na wystawie, natomiast jego miecz ceremonialny mierzył powyżej dwóch metrów. Niesiono go przed królem jako symbol władzy monarszej. Jeszcze dziś, w Anglii, znajduje się aż pięć takich mieczy.



Potem nastąpiła zmiana uzbrojenia. Pojawiły się rapiery – dłuższe od miecza, elastyczne, otoczono osłoną na dłoń. Cenili je zwłaszcza hiszpańscy konkwistadorzy, uważając, że najlepsze rapiery powstają ze stali w Toledo.

– Faktycznie, miecze z czasem zaczęły mieć osłonę ręki, oprawę rękojeści, tzw. kosze. Od XVII w. pojawia się natomiast szpada. W związku z rozpowszechnieniem broni palnej zaczęto redukować uzbrojenie ochronne, choć nadal pamiętamy, że to XVI wiek był świadkiem najpełniejszego rozwoju zbroi płytowej. Redukcja osłon pociągnęła za sobą zmianę w broni zaczepnej, w tym mieczy. Część główni zwęża się, druga część służy do cięcia. W Europie Północnej i Środkowej miecz służył wówczas do cięcia, w Anglii, w Hiszpanii i we Francji miecz wykorzystuje się do klucia, to tzw. miecz kolny. Pojawiają się także duże, 2-metrowe miecze dwuręczne, stosowane na polu walki przez plebejską piechotę, landsknechtów.

A co z szablą? Było kilka jej odmian? To broń biała chyba najbardziej bliska sercu Polaka. Pamiętam, że gdy analizowano filmową scenę pojedynku pomiędzy Kmicicem a Wołodyjowskim, padło stwierdzenie, że Kmicic walczył tradycyjną polską karabelą, natomiast jego przeciwnik używał lekkiej szabli.

– Na Wschodzie szabla znana jest od wczesnego średniowiecza i trafiła na Ruś w IX-X w. Wiele ludów wschodnich używało tej broni, weźmy choćby Madziarów. Już w XV w. szabla pojawia się w Polsce, a od XVI w. wypiera miecz. Oczywiście, szabla pozostaje elementem kultury narodowej – noszona przy pasie, podczas wojсковych uroczystości, kojarzona z szarżą i ułanami. Jej krzywizna miała powodować łatwiejsze cięcie z góry i zadawanie ciosów. Ale skoro wspominał pan o pojedynku filmowym, ja z kolei przytoczę przykład ciekawego zestawienia broni białej. Czy oglądał pan film „Rob Roy” z Liamem Neesonem w roli głównej?

Tak, oglądałem.

– Jest tam scena, gdy główny bohater, Szkot, stacza pojedynek z angielskim szlachcicem. Szkot używa popularnego w tamtym regionie od XVII w. pałasza koszowego, ciężkiej broni przeznaczonej bardziej do sieczenia. Jego rywal natomiast używa XVIII-wiecznej szpady, lekkiej broni służącej do klucia, pchnięcia. Widzimy tu doskonale, jak dochodziło do konfrontacji starszych i nowszych typów broni białej. Świat mieczy jest fascynujący, polecam każdemu odkrywanie historii białej broni. ■

© NBCUniversal 2021



HAWAII 5.0

CHICAGO P.D.

ZABÓJCZE UMYSŁY

AGENCI NCIS:
LOS ANGELESAGENCI NCIS:
NOWY ORLEAN**13**
ULICA

Wybuchowe lato sensacji

PONIEDZIAŁEK – PIĄTEK

OD 16:00

OGLĄDAJ NA KANALE 9

TELEWIZJA
KABŁOWA KOSZALIN
SPÓŁKA z o.o.

TE SAMOCHODY MAJĄ MOTORYZACYJNĄ DUSZĘ

Zaporożce, łady, moskwicze, trabanty, syreny, polonezy i fiaty 125. Wozy strażackie, milicyjne, karetki. Do tego motocykle i autobusy marki Jelcz, Ikarus i San. Kolekcja miniaturowych pojazdów Andrzeja Hamerli liczy kilka tysięcy egzemplarzy i robi wrażenie nawet na tych, którzy nie znają się na motoryzacji. W malutkich autach zakłute są wspomnienia z dzieciństwa i z wczesnych lat dorosłych.

Tekst: Ewa Marczak
Zdjęcia: Magda Pater

Nic dziwnego, że większość zgromadzonych przez Andrzeja Hamerlę modeli to auta produkowane w krajach byłego Związku Radzieckiego. W latach panowania w Polsce komunizmu tylko takie można było kupić poza rodzimymi produktami, jak warszawy czy polonezy. Wschodnioeuropejskie samochody wciąż budzą sentyment u wielu dorosłych, bo kojarzą im się z rodzinnymi wycieczkami czy ogólnie z dzieciństwem. Podziwianie starych aut może być przyczynkiem do opowieści o niezbyt odległych jeszcze czasach, o historii, nie tylko o motoryzacji. Mimo że obecnie wybór aut jest olbrzymi, samochody są pełne technologicznych udogodnień, a ograniczenie w ich zakupie stanowią tylko finanse, posiadacze zabytkowych pojazdów nie potrafią się rozstać ze swoimi cackami. Odnawiają się, naprawiają i dumnie prezentują się jako ich kierowcy. Parada czy wystawa zabytkowych aut to atrakcja wielu pikników, festynów czy innych wydarzeń, niekoniecznie związanych z motoryzacją.

KOZACKI SAMOCHÓD

Mimo że współczesne auta są lepiej wyposażone, często ładniejsze, to jednak na dźwięk słowa „zaporożec” oczy Andrzeja Hamerli zaczynają się śmiać. Nazwa samochodu oznacza Ko-

zaka z Siczy Zaporoskiej lub mieszkańca Zaporozża. Auto było produkowane na terenie radzieckiej Ukrainy w latach 1958-1994.

– To było auto z duszą – zaznacza. – Zaporożca mieli moi rodzice. Jeździli nim przez wiele lat. Potem, gdy dorosłem, też nim jeździłem. Nie mogłem się z nim rozstać, bo stał się członkiem naszej rodziny. W końcu jednak go sprzedałem. Mam za to kilka miniaturowych modeli tej marki, większe i mniejsze. Pod domem mam jeszcze mercedesa 190 z 1989 roku. Posiadałem też malucha, czyli fiata 126 p.

Zainteresowanie motoryzacją, które rozwinęło się już w dzieciństwie, przetrwało do wieku dorosłego, kiedy to pan Andrzej poznał innych pasjonatów starych aut. W 2014 r. przy Automobilklubie Koszalińskim powstała sekcja pojazdów zabytkowych Klasyczny Koszalin, którego został pierwszym przewodniczącym. Później sekcja przekształciła się w Stowarzyszenie Pojazdów Zabytkowych Klasyczny Koszalin. Jego członkowie zaczęli jeździć na różne zloty i rajdy zabytkowych samochodów i brać udział w wydarzeniach, które nie były związane z motoryzacją. Pięknie odrestaurowane auta stanowią atrakcję dla młodszych i starszych. Nierzadko są wypożyczane, aby zawieźć narzeczone do ślubu.

POLOWANIE NA KONKRETNY MODEL

– Podczas jednego ze zlotów zobaczyłem, że jeden z uczestników ma mały model swego auta, co mnie zdziwiło i po powrocie do domu spytałem syna, skąd można wziąć takie modele – wspomina kolekcjoner. – Usłyszałem, że można je bez problemu kupić przez internet, na portalach aukcyjnych. I tak to się zaczęło. Pierwszym modelem, który kupiłem, był oczywiście zaporożec. Kupuję także na naszej koszalińskiej giełdzie i na zlotach, od innych kolekcjonerów. To wciąga. Chce się mieć nie tylko coraz więcej modeli różnych samochodów, ale ten konkretny, będący odwzorowaniem danego modelu dużego auta. W mojej kolekcji mam kilka modeli wartburga. Staram się swoje autka układać na regałach według modeli albo przeznaczenia, na przykład oddzielnie autka osobowe, ciężarowe czy specjalistyczne takie jak wozy straży pożarnej, milicyjne







i policyjne, autobusy. Wiem, że to może z boku dziwnie wyglądać, że dorosły mężczyzna poluje na jakieś samochodziki. Ale takich zapaleńców jest więcej, o czym świadczy działalność Klasycznego Koszalina i innych tego typu organizacji. Członkowie i sympatycy koszańskiego stowarzyszenia spotykają się co czwartek o godz. 19 na parkingu przy amfiteatrze przy ul. Piastowskiej.

STARE JEST PIĘKNE

Prawdziwe samochody i ich miniaturowe modele to nie wszystkie obiekty zainteresowania Andrzeja Hamerli. Zbiera on także inne przedmioty związane z motoryzacją, np. dokumenty zakupu aut, liczniki samochodowe. Podkreśla, że ma prawdziwy sentyment do samochodów, które kiedyś masowo jeździły po polskich ulicach. Co prawda, większość z nich była produkowana w Związku Radzieckim, ale nie to jest powodem zainteresowania koszańskiego kolekcjonera.

– Trudno to wyrazić inaczej niż tym, że tamte samochody miały taką motoryzacyjną duszę, były ciekawsze niż współczesne auta – zaznacza. – Kiedy spotykamy się na różnych zlotach, możemy godzinami oglądać swoje egzemplarze, omawiając przy tym typ i budowę silnika czy inne techniczne szczegóły. Cieszę się, że młodzi ludzie także interesują się takimi starymi samochodami. Czasem na zlotach czy innych imprezach słyszę pytanie, czy naprawdę te samochody jeździły po naszych drogach. Często są też prośby – właśnie od młodzieży – o możliwość przejechania się takim zabytkiem. Pytam wtedy, trochę zdziwiony: dlaczego



chcesz jechać takim starym autem, skoro masz nowe? I słyszę: „Bo pana auto jest fajniejsze” (śmiech).

IM STARSZE, TYM LEPSZE

Zabytkowe auto to takie, które ma przynajmniej 25 lat, czyli ćwierć wieku. Dla ich miłośników są jak wino, czyli im starsze, tym lepsze. Posiadacze youngtimerów, czyli takich właśnie starych aut, chociaż pochodzących z drugiej połowy XX wieku, uważają, że są dużo lepsze od tych nowoczesnych, naszpikowanych elektroniką, która kontroluje niemal wszystkie czynności kierowcy. Ich zdaniem te udogodnienia zmniejszają przyjemność jazdy. A wymiary samego samochodu nie pozwalają na kreatywne wykorzystanie jego powierzchni. Kto bowiem potrafi tak załadować duże auto, jak robili to właściciele maluchów?

Andrzej Hamerla jest dyrektorem Wojskowej Specjalistycznej Przychodni Lekarskiej. Na tyłach zajmowanego przez nią gmachu stoi polonez, pełniący funkcję karetki wojskowej, pozyskany z podobnej placówki w Świdwinie. Część zbiorów trzyma w swoim gabinecie, część w domu, a resztę w Salonie Historycznym pod hotelem Gromada. Salon prowadzi Stowarzyszenie Historyczno-Eksploracyjne „Odkrywcy”. Można w nim obejrzeć wiele przedmiotów codziennego użytku takich jak pralkę Frania czy duże i ciężkie radioodbiorniki na baterie.

– Członkowie tego stowarzyszenia, na czele którego stoi Mariusz Król, to są dopiero pasjonaci! – nie kryje podziwu Andrzej Hamerla.

MARZENIE O MUZEUM

– Musiałem przenieść wiele swoich egzemplarzy w inne miejsce, bo w domu się nie mieściły – przyznaje. – Może to niektórych dziwić, że poświęcam czas i pieniądze na wynajdywanie tych modeli. Fakt, to trochę dziwne, że w moim wieku chce się coś zbierać. Dla mnie to po prostu sentyment, a moim dzieciom, a obecnie wnukom, te małe auta służą jako zabawki. Z powodów zawodowych i braku miejsca w domu musiałem ograniczyć swoje kolekcjonerskie zakupy.

Marzeniem Andrzeja Hamerli jest umieszczenie wszystkich swoich modeli pojazdów w jednym obiekcie, a tym samym stworzenie małego muzeum motoryzacji. Byłoby to miejsce nie tylko dla pasjonatów zabytkowych już aut, motocykli czy autobusów, ale dla tych, którzy chcieliby zobaczyć, jakie samochody królowały nie tak dawno na polskich ulicach. Dzięki takim pasjonatom jak Andrzej Hamerla, którzy dbają o klasyczne auta, możliwa jest wycieczka w niezbyt odległą przeszłość. ■



GDY W AUCIE ZA GORĄCO...



Bez względu na to, jaka w tej chwili panuje aura, to z jednym należy się zgodzić – mamy lato. Jeśli nie jest upalne, a kapryśne lub nawet bardzo deszczowe, to może się zdarzyć, że powtórka z „festiwalu wysokich, czerwcowych temperatur” jest możliwa. Warto wiedzieć, czego nie zostawiać w samochodzie w upalne dni, aby nie narażać jego wnętrza na uszkodzenie, a nawet zniszczenie.

Tekst: Radosław Czerwiński

Zdjęcie: Magda Pater

Przy 30-stopniowym upale wewnątrz stojącego w odkrytej przestrzeni samochodu może nagrzać się do 70 st. Celsjusza. Wiele przedmiotów pozostawionych w aucie może się stopić, a nawet wybuchnąć. Czego nie zostawiać w nagrzanym aucie?

CHEMIKALIA I NIE TYLKO

Aerozole, dezodoranty, chemia gospodarcza, a w tym preparaty samochodowe według informacji zawartych na opakowaniach powinny być chronione przed wysoką temperaturą i nasłonecznieniem. W cieniu, w temperaturze niewiele powyżej 20 stopni, są bezpieczne. W nagrzanym aucie substancje (gaz) zamknięte w puszcze zwiększają swoją objętość. Jeśli dojdzie do rozszczelnienia i zawartość będzie wydobywać się powoli, to jeszcze nie tak źle. Gorzej, jeśli dojdzie do gwałtownej reakcji. Pomyślmy, jak może wyglądać wnętrze naszego samochodu, jeśli pozostawimy w nim w upalny dzień np. farbę w sprayu? Bez względu na to, czy zawartość ulatniać będzie się stopniowo czy nagle, to efekty będą opłakane, a tapicerkę i fotele czyścić będzie trzeba wielokrotnie. Miejmy też na uwadze inne chemikalia, które dostając się do kabiny mogą być szkodliwe np. dla naszych dróg oddechowych.

SPRZĘT ELEKTRONICZNY

Mimo że wiele nowoczesnych samochodów naszpikowanych jest elektroniką i wszystko widoczne jest w jednym miejscu na kokpicie, to jednak wciąż wozimy w autach telefony komórkowe, laptopy, a nawet piloty do garażu czy do bramy. Wszystko, co ma baterię, a pozostawione jest w aucie rozgrzanym do temperatury dużo powyżej 50 st. Celsjusza, może nie wywoła eksplozji, ale przestanie działać na zawsze. Jeśli już zdarzyło nam się, że po powrocie do gorącego auta złapaliśmy za rozgrzany telefon, tablet lub laptop, to najpierw schłodźmy urządzenie do temperatury pokojowej. Bezpośrednie uruchomienie może spowodować bezpowrotne uszkodzenia i wtedy należy liczyć się z utratą urządzenia. Zarówno dla telefonu, jak i dla pilota do garażu. Pamiętajmy też o osobno montowanych nawigacjach czy wideorejestratorach. Na te urządzenia skwar oddziałuje na rów-

ni jak na wcześniej wspomniane urządzenia. LCD jest podobno szczególnie podatne właśnie na wysokie temperatury. Wyτέżmy czujność, aby rozgrzanych urządzeń nie podłączać do zasilania.

LEKI I ŻYWNOSĆ

O tym, że pozostawione w zbyt wysokiej temperaturze jedzenie szybko się psuje albo – delikatnie mówiąc – zmienia swój kształt i wygląd, niejednak człowiek się przekonał. Rozszczelniony pojemnik z produktami zawierającymi czekoladę, leżący na siedzeniu kierowcy w sposób pozwalający jej opuścić ów pojemnik to gwarancja nerwów, dłuższego postoju i sprzątania tym, co akurat jest pod ręką. Lekarstwa mogą nie zmienić kształtu, ale swoje właściwości. Na większości medykamentów znajdziemy informacje, aby przechowywać leki w miejscach, na które słońce bezpośrednio nie oddziałuje. Czasem wręcz podane są widełki temperatur, w jakich lek przebywać może. Zakres bliższy jest wnętrzu lodówki niż samochodu stojącego na parkingu, w skwarze.

BUTELKA Z WODĄ

To, o co warto dbać jeżdżąc samochodem w miesiącach najcieplejszych w roku, to regularne nawadnianie organizmu. Wpływa ono na koncentrację czy szybkość reakcji kierowcy. Nic dziwnego, że widok butelki z wodą mineralną, leżącej „pod ręką” w aucie, jest dość częstym między końcem maja a początkiem września. Wiele osób podróżujących samochodami bagatelizuje sytuację, w której napełniona wodą butelka pozostaje w aucie, wystawiona na działanie promieni słonecznych. Dobrze, jeśli skończy się na zwykłym nagrzanu zawartości. Niejaki Dioni Amuchastegui podczas posiłku spożywanego w jego ciężarówce odłożył butelkę z wodą na fotel pasażera, doskonale oświetlony przez słońce. Chwilę później zorientował się, że spod opakowania zaczyna się dymić. Zestaw plastik + woda podziałał jak soczewka koncentrująca promienie słoneczne niczym lupa. Co by się stało, gdyby kierowcy w tym czasie nie było w pojeździe? Jeśli butelka nie jest zbyt duża, to lepiej przed wyjściem z auta uniknąć pożaru auta, chowając płyn do schowka. ■

DEATH VALLEY

Kalifornia to obszar niezwykłych kontrastów, dla których trudno znaleźć odpowiedniki gdziekolwiek na świecie. W ciągu tego samego dnia można zjeżdżać na nartach, a potem spacerować między pustynnymi kaktusami. Najwyższe, największe i najstarsze drzewa na świecie rosną parę godzin jazdy od największych kaktusów na naszym globie o nazwie saguaro, czyli karnegii olbrzymiej. A niebotyczne szczyty pobliskich gór sąsiadują z największą depresją Ameryki Północnej – właśnie z Doliną Śmierci.

Tekst i zdjęcia: Robert Nawrocki

Depresja w najgłębszym miejscu zwanym Badwater dochodzi do 86 metrów poniżej poziomu morza. Nie jest to największa depresja na kuli ziemskiej. Absolutnie rekordowa pod tym względem jest depresja Morza Martwego wynosząca 500 poniżej poziomu morza leżąca na granicy Jordanii i Izraela. Nazwa budzi grozę, ale ma uzasadnienie.

DROGA KU ŚMIERCI

W 1846 roku, gdy wybuchła najsłynniejsza w dziejach gorączka złota odkrytego z Kalifornii, dziesiątki tysięcy ludzi ruszyło na zachód z nadzieją na szybkie wzbogacenie się. Nie było wtedy jeszcze kolei żelaznej przecinającej kontynent, bowiem ta powstała tam dopiero 20 lat później. Bogaci mogli pozwolić sobie na trasę drogą morską dookoła kontynentu wokół przylądka Horn, biedniejsi ładowali cały dobytek na wozy zaprzężone w woły lub konie i wyruszyli różnymi szlakami przygotowani na parę tysięcy kilometrów bezdroży. Znane szlaki były niebezpieczne i uciążliwe. Niektórzy śmiałkowicie szukali skrótów, bywało, że skutecznie, ale zdarzało się jak w przypadku Doliny Śmierci, że próba przedarcia się przez ten surowy obszar zakończyła się śmiercią 13 śmiałków. Stąd wzięła się nazwa doliny.

Zadziwiające jest to, że dolina wcale nie była bezludna i od setek lat zamieszkała była przez Indian z plemienia Timbisha, którzy potrafili w tej dolinie nie tylko przeżyć, ale i po prostu żyć na stałe. Zresztą zamieszkują tu do dzisiaj w utworzonym dla nich rezerwacie. To zapadlisko tektoniczne u podnóża gór Sierra Nevada. Paradoks polega na tym, że pionierzy, umierając w Dolinie Śmierci z pragnienia, mogli patrzeć na ośnieżone szczyty pobliskich gór. Chyba niewielka była to dla nich pociecha, choć widok w ostatnich chwilach życia zaiste piękny.

PIEKŁO NA ZIEMI

Dolina jest częścią rozległej pustyni Mojave (czyt. Mochawe), położonej w południowej części stanu i stanowi trzeciorzędowe zapadlisko tektoniczne, otoczone potężnym pasmem górskim Panamint z najwyższym szczytem Telescope Peak o wysokości 3368 m n.p.m. Opady deszczu nie przekraczają 50 mm rocznie, co nawet jak na pustynię jest małą ilością – pustynią jest każdy obszar na globie, na którym roczne opady nie przekraczają 200 mm opadu deszczu rocznie. Do tego Dolina Śmierci jest jednym z najgorętszych miejsc na kuli ziemskiej. W 1913 roku w lipcu zanotowano tu temperaturę powietrza wynoszącą 56,7 stopni Celsjusza. Do dziś jest to nie pobity rekord, aczkolwiek przy pomiarach należy brać pod uwagę warunki pomiaru – chodzi o temperaturę powietrza w cieniu na wysokości metr nad powierzchnią gruntu. Pomiar temperatury w pełnym słońcu lub przy powierzchni ziemi daje jeszcze wyższe temperatury i codziennie na kamieniach pokrywających dolinę i tak można spokojnie smażyć jajecznicę. W lipcu 1975 roku zanotowano temperaturę gruntu wynoszącą 93,9 stopni Celsjusza – co również jest do dziś niepobitym rekordem.

TURYSTYCZNA PEREŁKA

Od 1994 roku Dolina Śmierci uznana została za park narodowy i jest terenem podlegającym ochronie ze względu na walory biologiczne i turystyczne. Można by zadać pytanie, po co chronić kawałek piekła na ziemi, skoro inwazja deweloperów raczej pustyni nie grozi? Otóż przez wiele lat teren ten był eksplorowany gospodarczo w celu wydobycia boraksu – minerału wykorzystywanego między innymi do produkcji szkła i ceramiki.









Materiał z kopalni transportowany był słynnymi zaprzęgami składającymi się z dwudziestu mułów, czyli dziesięciu par w długim szeregu.

Dzisiaj Dolina Śmierci również przynosi dochody, ale już całkowicie odnawialne. Rocznie ten park narodowy odwiedza milion turystów! Ale i tak nie ma tłoku, bo obszar jest ogromny. Z doliną najlepiej zapoznać się z punktu widokowego Dante Point usytuowanego na zboczu Black Mountains na wysokości ponad 1600 metrów, skąd rozciąga się niesamowity widok na dolinę, w której leży Bad Water – najniższy punkt na kontynencie. Dno doliny ma obszary wręcz białego koloru – to osady mineralne po wyschniętym słonym jeziorze, które tu było przed tysiącami lat. Woda wyparowała, pozostawiając ciekłą, kruchą warstwę soli. Choć nazwa doliny kojarzy się z martwością, jest pełna życia, tylko trzeba je zauważyć. Na Dante Point wcale nie trudno. Na skałach wygrzewają się spore jaszczurki, zawsze wylegując się koło szczelin skalnych. Gdy zauważają niebezpieczeństwo, szybko zmykają, chroniąc się w płytkich szparach. Mają niesamowitą umiejętność – gdyby drapieżnik próbował je wyciągnąć ze schronienia, potrafią nadymać płuca tak, że ich żebra się klinują jaszczurkę w szczelnie.

Po nasyceniu wzroku widokami na kilkadziesiąt kilometrów w dal, należy zjechać serpentynami, by dotrzeć na samo dno doliny i podążyć prosto do Bad Water. Nazwa znaczy tyle, co „zła woda” i całkiem trafnie określa to miejsce, w którym znajduje się płycutki staw otoczony ogromnym kołnierzem białej soli. Bowiem w dolinie jest woda, tyle że zupełnie nie nadaje się do picia, o czym przekonali się pionierzy i to ze skutkiem śmiertelnym. Na pobliskim zboczu zaznaczony jest białą linią poziom morza, aby przekonać się, na jaką głębokość „zanurkowaliśmy”. Bad Water to najważniejszy punkt turystyczny doliny, wręcz obowiązkowy,

ale zrobilibyśmy sobie krzywdę, wyjeżdżając z parku zaraz po zrobieniu selfie z tablicą wyznaczającą punkt najniższej depresji. Nie utworzono na tym terenie parku narodowego dla jednej depresji. To niezwykle piękny obszar widokowo i przyrodniczo. Pejzaż zarazem surowy, ale i malowniczo różnorodnością.

Nieopodal depresji Bad Water mijamy Mesquite Flats – przepiękne wydmy piaskowe o pastelowych barwach. Skąpa zieleń dodaje koloru tym pejzażom, będąc zarazem domem dla wielu małych zwierząt i nielicznych ptaków, z których najbardziej charakterystyczny i znany to kukawka kalifornijska – spory ptak z rodziny kukułkowatych, który zdecydowanie preferuje szybkie bieganie niż latanie. To właśnie ten ptak był pierwowzorem strusia pędziwiatra z kresówek, chociaż ze strusiem afrykańskim zupełnie nie ma nic wspólnego. Kontynuując podróż docieramy do krateru malowniczego Ubehebe, który choć jest pochodzenia wulkanicznego, nie powstał w wyniku eksplozji lawy, a pary wodnej! Podziemny zbiornik wody został podgrzany magmą do takiej temperatury, że eksplodował z siłą bomby atomowej. To największe twórczo geologiczne tego typu na świecie.

Trudno też pominąć słynny punkt widokowy Zabrieskie Point, nazwany tak na cześć prezesa firmy Pacyfik Coast Borax, wydobywającej boraks w dolinie. Prezes Christian Zabriskie był potomkiem szlachcica polskiego – Albrychta Zaborowskiego. Miejsce to zostało również pokazane w filmie Michelangela Antonioniego „Zabriskie Point” z muzyką zespołu Pink Floyd. To jeden z najbardziej niesamowitych widoków na kuli ziemskiej przypominający powierzchnię innej planety. Zresztą Dolina Śmierci była plenerem kilkunastu filmów, co jest dowodem, że utworzenie w tym miejscu parku narodowego miało swoje głębokie uzasadnienie. ■

Prędkość, moc, stabilność – to światłowód do 1 Gigabita

w Telewizji Kablowej Koszalin.

Dołącz do szybkich i ... najszybszych w mieście według rankingu speedtestu.pl



TELEWIZJA
KABLOWA KOSZALIN
SPÓŁKA z o.o.

Zapytaj o ofertę w Biurze Obsługi Klienta:

TKK Sp. z o.o. ul. Kotarbińskiego 3, 75-352 Koszalin
tel. 94 720 20 20 www.tkk.net.pl

Według rankingu speedtest.pl – testy przeprowadzono od 01.01.2019 r. do 31.05.2019 r.

Telewizja Kablowa Koszalin Sp. z o.o. informuje o wprowadzeniu do oferty nowych kanałów:



Canal + Sport 3



Canal + Sport 4



Canal + Now



Ukraina 24



Food Network



Antena HD



TVP Kobieta



Dorcel XXX

Kanały:

Polsat Viasat Explorer, History, Russia Today, CNBC, CNN, Polsat Seriale
zmieniły rozdzielczość z SD na HD.

WAKACYJNY SET

Sezonowość w kuchni powinna być normą. Dlatego tym razem szef kuchni Marcin Wolny przygotował dwa przepisy, które są połączeniem nowoczesności i tradycji. Trwa sezon na botwinę, bób i szparagi. Dlatego też pierwszą propozycją jest chłodnik. Młode korzenie i listki buraka ćwikłowego to samo zdrowie, wyrazisty smak i przepiękny kolor. Drugą propozycją jest makaron z bobem, szparagami i pikantnym salami. A na deser tym razem coś, co ugasi pragnienie w letnie, upalne dni – kombucha spritz. O fermentowanej herbacie opowiedział nam Bartłomiej Denis, pasjonat miksowania koktajli, alkoholi rzemieślniczych oraz poszukiwania nowych połączeń i doznań smakowych. Swoim doświadczeniem dzieli się już 17 lat pracując w najlepszych koktajl barach i gwiazdkowych restauracjach w Polsce i za granicą.



CHŁODNIK Z BOTWINKI Z MAŚLANKĄ I Z KEFIREM

Składniki:

botwinka – pęczek
 rzodkiewka – pęczek
 maślanka – 1 l
 kefir – 200 ml
 sok z kiszonego buraka lub zakwas buraczany – 100 ml
 koperek – duży pęczek
 szczypiorek – pęczek
 sól, cukier i pieprz – do smaku
 jajko na miękko – według potrzeb

Sposób przygotowania:

Botwinę i rzodkiewkę dokładnie umyć i osuszyć (liście z rzodkiewki wcale nie muszą wylądować w koszu, świetnie nadają się do sałatek i dodadzą naszemu chłodnikowi chrzanowej pikantności).

Łodygi botwinki pokroić w drobną kostkę, liście dokładnie przesiekać, rzodkiewkę zetrzeć na tarce z grubym oczkiem, a liście przesiekać, ale dodać je na koniec, ponieważ w zależności od rzodkiewki mogą być one gorzkie lub megachrzanowe. Całość przełożyć do miski, zasypać łyżką cukru i łyżeczką soli, zostawić na 2-3 godziny w lodówce, żeby warzywa zmiękły i puściły soki (nie ma wtedy konieczności blanszowania lub gotowania botwinki, a i botwinki będzie więcej w botwinie).

Gdy botwinka zmięknie, zalewamy ją maślanką, kefirem i sokiem z kiszonego buraka, dorzucamy siekany koperek, sól, pieprz świeżo mielony i cukier, pamiętając o tym, że wcześniej botwinka była solona, a sok z kiszonego buraka zazwyczaj jest już solony.

Chłodniczek serwujemy z jajkiem ugotowanym na miękko i dużą ilością szczypiorku.



MAKARON Z BOBEM, SZPARAGAMI I PIKANTNYM SALAMI

Składniki:

suchy makaron tagliatelle – 250 g
 bób – 150 g
 szparagi – pęczek
 czosnek – 3 ząbki
 chilli – 1 szt.
 cebula – 1 szt.
 pikantne salami – ok. 5 plasterów
 masło – 2 duże łyżki
 białe wino – 100 ml
 rukola
 ser twardy dojrzewający (coregio, emili grana, grana padano)

Sposób przygotowania:

Bób ugotować w osolonej wodzie do miękkości, ostudzić i obrać. Ze szparagów odciąć zgrubiały koniec, obrać i pokroić w lekko skośne plasterki.

Na patelni rozgrzać masło, zeszklić cebulę pokrojoną w kostkę i drobno posiekany czosnek, dodać pokrojone w paseczki salami i parę plasterków chilli, poddusić całość przez minutę. Dodać szparagi i bób, chwilę przesmażyć, dodać sól, cukier, świeżo



mielony pieprz, białe wino i kolejną łyżkę zimnego masła. Gotować do zgęstnienia sosu – gdy gęstnieje, dorzucić świeżo ugotowany makaron i mieszając poczekać, aż wypije cały sos. Podać ze świeżą rukolą, startym serem dojrzewającym i kolejną porcją świeżo mielonego pieprzu.



Składniki:

ananasowe oleo sacharum* – 25 ml (ananas pokrojony w kostkę – 250 g, laska cynamonu, kilka goździków, skórka z grejpfruta (bez białej części) – 3 szt., świeży imbir – plaster, cukier trzcinowy – 250 g)
 dowolna kombucha (np. kwiat bzu lub mango) – 150 ml
 woda gazowana – 50 ml
 skórka z grejpfruta

*oleo sacharum:

Do szczelnego słoika wrzucamy wszystkie składniki. Zасыпуje-
 my cukrem, zakręcamy i wstrząsamy. Odstawiamy do lodówki
 na 48 godzin. Po upływie tego czasu całość filtrujemy przez sitko
 i przechowujemy w lodówce do miesiąca.

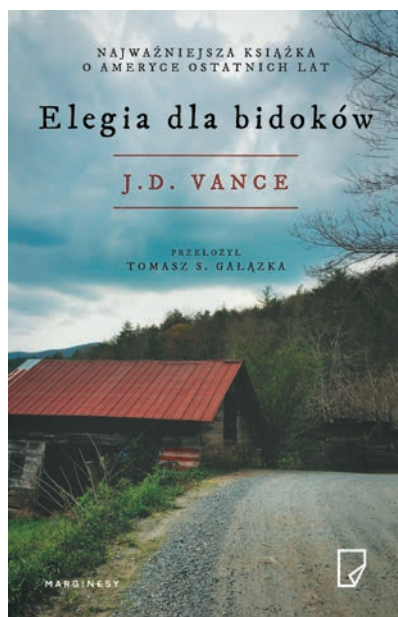
Sposób przygotowania:

Do kieliszka wypełnionego lodem wlewamy po kolei wszystkie składniki. Mieszymy i aromatyzujemy koktajl, wyciskając olejki eteryczne z zewnętrznej części skórki w kierunku kieliszka. Dekorujemy koktajl skórką lub kawałkiem grejpfruta.

KOMBUCHA SPRITZ



Z szefem kuchni gotowała Magdalena Wojtaszek
 Zdjęcia: Magda Pater



ŻYCIE ZWYCZAJNIE

Książka miała niebotyczną sprzedaż w USA, powstał też film z gwiazdorską obsadą. „Elegia dla bidoków”, ni to powieść, ni rozprawa socjologiczna, ukazała się także w Polsce.

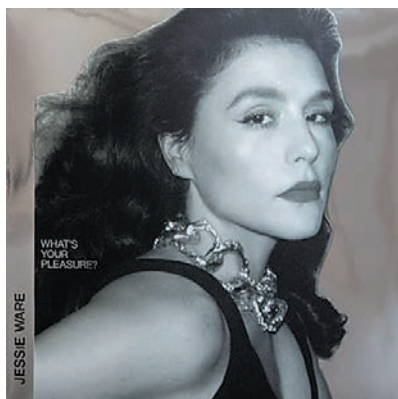
Czarnoskóra służąca w domu Scarlett O'Hary, będąca jeszcze niewolnicą, mawiała o biednych białych mieszkańcach okolicy – biała biedota lub biała hołota. To określenie przypomina się od pierwszych stron lektury książki J.D. Vance'a, bo społeczności m.in. z okolic Pasa Rdzy w południowym Ohio nadal tak się określa. Autor pochodzi z bidoków Ameryki i mawia, że „z Kentucky można wyjść, ale Kentucky z Ciebie nigdy nie wyjdzie”. Sam jest tego przykładem, o czym dobitnie zaświadcza ostatni rozdział jego opowieści.

Literacko nie jest to żaden ewenement – ot, barwnie opowiedziana skomplikowana historia dorastania w rozbitej rodzinie i wychodzenia mimo wszystko na jakąś prostą. Ale autor daje przy tym tak dokładną i tak bezlitosną analizę struktury amerykańskiego społeczeństwa, że powiedzieć, że USA to kraj wielu różnych prędkości, to nic nie powiedzieć. Pokazuje na własnym przykładzie, jak pochodzenie warunkuje wybory człowieka, wybory, które z kolei mają wpływ na dorosłe życie. Pokazuje też, że tak trudno się wyrwać z mentalnego treningu, jaki daje urodzenie się i życie w jednym środowisku o określonych zasadach czy obyczajach. Właściwie można tam znaleźć jedną wartość, dzięki której daje się czasem przeżyć i dobrać do dorosłości. To więzy rodzinne, zastępujące wszystko – wykształcenie oraz znajomość innych światów niż własny. On sam ma do końca życia chęć natychmiastowego pobicia osoby, która źle się wypowie o kimś z jego rodziny czy tylko miasta, z którego pochodzi. Dorosły, wykształcony J.D. umie tę chęć powstrzymać, ba, potrafi też nie mieć wyrzutów sumienia i nie wyzwać samego siebie od mięczaków. Ale chęć pozostała.

Jakimś nadludzkim wysiłkiem potrafił przezwyciężyć okowy wychowania, wielopokoleniowej tresury w podejmowaniu złych decyzji, odrzucić „demony młodości”.

Warto przebrnąć przez te 300 stron, co może być trudne ze względu na niezwykłą szczerść autora w stosunku do siebie i do swojej rodziny. We wstępie mówi: „Nie napisałem tej książki dlatego, że dokonałem czegoś nadzwyczajnego. Napisałem ją dlatego, że osiągnąłem coś zupełnie zwyczajnego, co jednak bardzo zdarza się dzieciakom, którzy dorastają w warunkach takich jak ja”. Dla niego były to Himalaje, poczynając od zbudowania sobie motywacji do tego czynu – wyrwania się, ale nie wykorzenienia. To książka dla osób, które mogą mieć z tym problem. Może dać siłę.

Dana Jurszewicz



MAGNETYZUJĄCA JESSIE

Raczej nie ma osoby, która tej płyty nie zna. A jeśli jednak już znajdzie się ktoś taki, to szczerze mu zazdroszczę, bo jest to idealny wybór na słoneczne, upalne dni. Pod koniec czerwca wyszła platynowa wersja albumu Jessie Ware „What's Your Pleasure?”. Premiera tego krążka miała miejsce dokładnie rok temu.

Artystka mimo lockdownu i odwołanych koncertów odniosła ogromny sukces. Klubowe brzmienia z niezwykle magnetyzującym wokalem na pewno sprawią wiele przyjemności. Platynowa wersja jest odpowiedzią na tak fantastyczny odzew słuchaczy. To powrót do rytmów disco i elektroniki.

Jessie znamy już z wielu wersji, każda z nich jest dopracowana do granic możliwości od soulowych brzmień po pop i R'n'B. Na listy przebojów wdarła się hitem „Wildest Moments”. Później była to już tylko kwestia czasu, kiedy każda kolejna płyta odbijała się szerokim echem.

Już od pierwszego numeru „Spotlight” zaczynamy zabawę, funkowy klimat porwuje do tańca. Później jest tylko lepiej... „Save a kiss”, „What's Your Pleasure?” czy „Ooh La La”. Jeden z popularnych serwisów muzycznych napisał, że ten album przypomina nam, dlaczego słuchamy muzyki dance. Brytyjska wokalistka udowodniła, że po raz kolejny nie boi się eksperymentować i przybierać nowych wcieleni. Platynowa wersja płyty zawiera nowe numery, nad którymi Jessie pracowała już jakiś czas temu. Znajdziemy siedem dodatkowych kompozycji. W „Eyes Closed” czy „Please” panuje taki klimat, którego nie powstydziałaby się sama Madonna. „Pale Blue Light” czy „0208” to coś zdecydowanie spokojniejszego na długie, letnie wieczory. Świetnie sprawdzi się w tej sytuacji także remiks „Adore You”. Znajdziemy też siedem dodatkowych kompozycji.

Artystka zapowiedziała, że na scenie pojawi się już w grudniu, jeśli pozwoli na to obecna sytuacja związana z pandemią. Warto też wspomnieć, że Jessie Ware jest autorką kilku książek i audiobooków. Jak sama mówi, cały czas ma apetyt na więcej!

Magdalena Wojtaszek

AUSTRALIJSKIE WIBRACJE



Antypody, czyli daleka kraina, która wydaje nam się wręcz innym światem. Australia to kontynent oderwany od pozostałych, w którym wszystko jest inne. Kangury w miastach, ssaki znoszące jaja i kultura jakże odmienna od tego, co proponuje świat zachodni. To z tego kraju pochodzi wiele zespołów, które proponują zupełnie oryginalne podejście do muzyki.

Tak jest w przypadku grupy Hiatus Kaiyote. Kwartet ma na swoim koncie trzy albumy i właśnie ukazał się ten najnowszy zatytułowany „Mood Valiant”. Co czeka nas po włączeniu? Zdecydowanie coś nowego. Czuć w tej muzyce bezkres australijskich krajobrazów. To soul, jazz, rock z jakąś nutką aborygeńskiego folkloru. Wokalistka Nai Palm potrafi nucić niczym jakaś szamanka, aby zaraz zaprezentować moc jak Amy Winehouse. Na pierwszą linię wybija się gitara basowa. Paul Bender jest czarodziejem tego instrumentu. Nie odstają Simon Mavin na klawiszach i Perrin Moss na perkusji. Rytm jest połamany. Tempa utworów zmienia się jak w kalejdoskopie. Czujemy się jak na szalonej przejażdżce kolejką górską. To jakby mieszanka hipisowskiego transu z nowofalowym jazzem i soulowym śpiewem.

Jeżeli spotkaliście się z zespołem Khruangbin, to można doszukiwać się pewnych podobieństw. W przypadku Hiatus Kaiyote dochodzi jednak to australijskie szaleństwo. To nie pierwszy przypadek zespołu, który robi rewolucję w brzmieniu i pochodzi z tych rejonów. Warto tu wspomnieć nowozelandzką formację Fat Freddy's Drop, która także swego czasu pomieszała wszystko, co można, i stworzyła swój własny gatunek. Hiatus Kaiyote to coś zarówno dla fanów starego stoner rocka, jak i dla wielbicieli soulowych wokalistek oraz jazzowych ortodoksów. Nowa płyta „Mood Valiant” rozwija tę filozofię i stanowi opus magnum australijskiej formacji. Jeżeli nie znaliście tej grupy, to czas najwyższy nadrobić zaległości.

Mateusz Prus



IN THE COURT OF THE CRIMSON KING

Ta płyta została nagrana ponad 50 lat temu (1969) – ale mogłaby zostać nagrana wczoraj! Nikt ani z krytyków, ani z wielbicieli rocka progresywnego nawet nie zorientowałby się, że ta muzyka liczy sobie już pół wieku. Mało które dzieło rocka, jeśli jakiegokolwiek, nie zestarzało się w najmniejszym stopniu. Oczywiście, piękno pozostaje zawsze pięknem i jest wiele płyt, które do dziś są kochane, słuchane i podziwiane. Ale po kilkudziesięciu latach „słychać” w nich upływ czasu. Nie dotyczy to pierwszej płyty zespołu King Crimson pod tytułem „In the Court of the Crimson King”. Jest poza czasem, wzniosła się ponad upływ stylów, gustów i zmian w technice instrumentalnej.

Gdy ukazała się na rynku, stała się sensacją. Nie bestsellerem, a zjawiskiem czegoś absolutnie nowego – nikt tak wcześniej nie grał. Muzyka rockowa tamtych czasów mocno tkwiła korzeniami w bluesie opartym na mocnych, wyrazistych rytmach perkusji i pierwszoplanowych gitarach z prostymi riffami. Ta nowa muzyka była drogowskazem dla pełnego wyodrębnienia się muzyki trudniejszej, ambitniejszej – rocka symfonicznego. King Crimson udowodniło, że nie zawsze trzeba grać do tańca, by zdobyć sławę i powodzenie materialne.

Płyta rozpoczyna się utworem „21st century Schizoid Man”, który paradoksalnie stał się najbardziej znanym utworem zespołu, chociaż ma się nijak nie tylko do stylistyki pozostałych utworów na płycie, ale do całości dorobku zespołu do dnia dzisiejszego. Siedem minut agresywnej, wręcz psychodelicznej muzyki będącej swego rodzaju protest songiem jest jedynym przebojem grupy do dziś wykorzystywanym komercyjnie w reklamach. Absolutnie jednak nie można oceniać stylistyki King Crimson przez pryzmat tego utworu. A w zasadzie można go posłuchać jeden raz, a potem odtwarzanie płyty rozpoczynać od drugiego utworu „I Talk to the Wind”, który przeniesie nas w świat wyjątkowej i do dziś muzyki opartej na klasycznych gitarach i na melotronie – instrumencie klawiszowym, który brzmiał jak sekcja smyczków. Dziś każdy syntezyzator ma nieskończenie wiele więcej możliwości brzmieniowych, ale na owe czasy była to – na równi z moogiem – awangarda technologii instrumentalnej. Powstała muzyka melancholijnej poezji wyspiewanej przez jeden z najpiękniejszych głosów muzyki rockowej – Grega Lake’a.

Niewiarygodnie czysty i wyrazisty jak spiszowy dzwon głos Lake’a zdobył potem muzykę supergrupy Emerson Lake & Plamer. Zespół King Crimson nagrał jeszcze jedną płytę stylistycznie podobną do pierwszej – „In the Wake of Poseidon” jeszcze z wokalem Lake’a, a potem grupa podryfowała w zupełnie inne obszary stylistyczne kierowana przez lidera Roberta Frippa.

Robert Nawrocki

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM

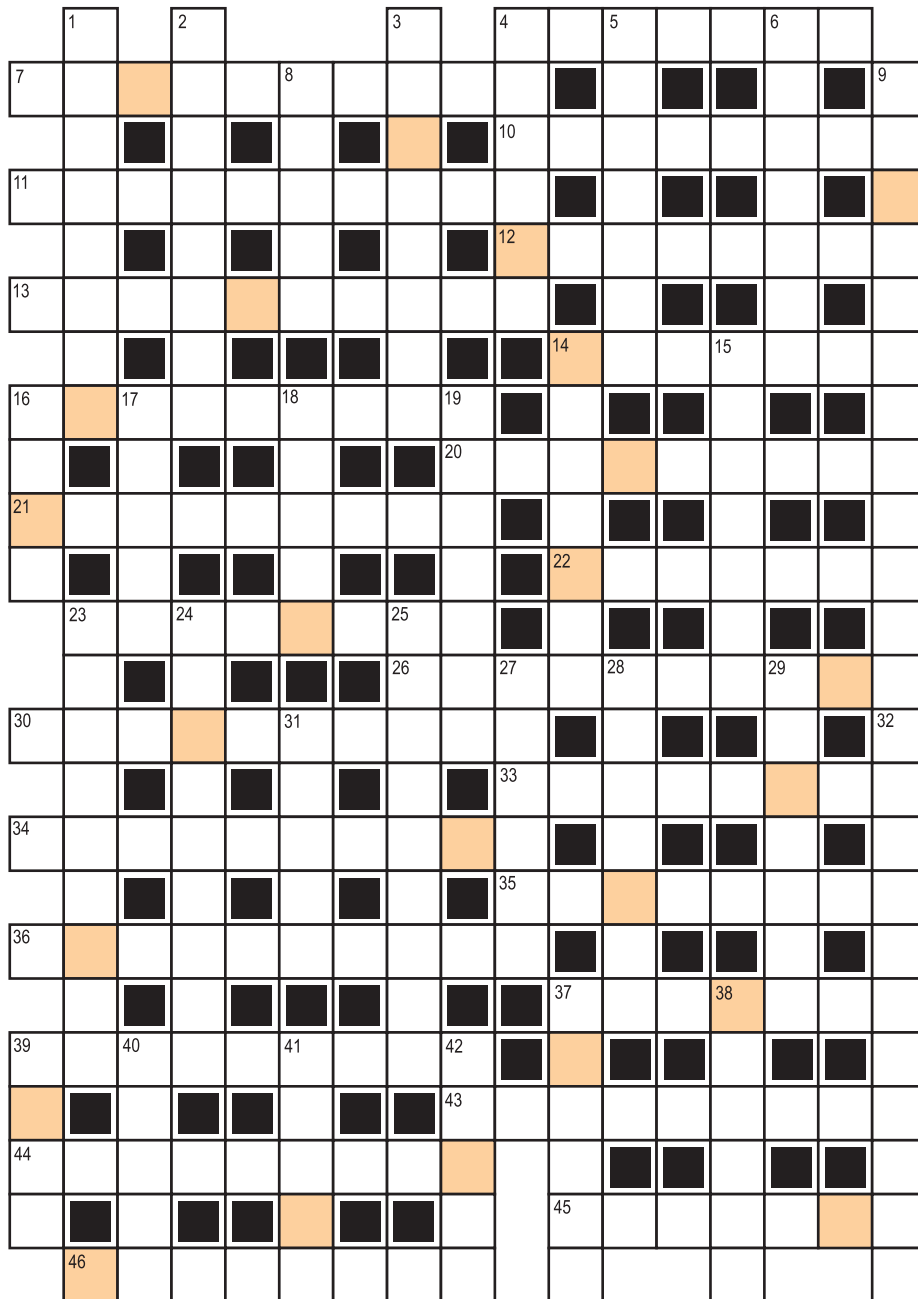
Litery z pól oznaczonych kolorem, odczytane kolejno rzędami, utworzą aktualne hasło.
Życzymy przyjemnego rozwiązywania!

Poziomo:

- 4) eleganckie damskie buty
- 7) pracownik korzystający z ustawowej, płatnej przerwy w pracy
- 10) naczynko do robienia babek z mokrego piasku
- 11) nauka o krążeniu wód w przyrodzie
- 12) tasiemka lub galonik naszyty na mundur wojskowy (np. dla oznaczenia stopnia służbowego)
- 13) ktoś kto opowiada głupie, niewyszukane żarciki
- 14) wysokie wojskowe buty na skórzanej podeszwie
- 16) mieszkanka Tybetu
- 20) jest nią palczak, galago, lemur
- 21) krztynka, żdziebełko, okruh
- 22) karaibska wyspa, rytmiczna muzyka taneczna, księżyc Saturna lub lody śmietankowe
- 23) polski samochód osobowy, produkowany przez FSO w l. 1951-1973
- 26) studenci – akademiki; uczniowie – ?
- 30) okazała ozdoba damskiego nadgarstka
- 33) miasto będące główną siedzibą Komisji Europejskiej
- 34) otworek od kluczyka
- 35) okres największych letnich upałów
- 36) konstrukcja maszyny
- 37) letnie buty z pasków
- 39) artysta występujący na arenie
- 43) córka hrabiego
- 44) szef szpitalnego oddziału
- 45) funkcyjny albo rodzinny, wypłacany pracownikowi oprócz pensji
- 46) teatr jednego aktora.

Pionowo:

- 1) „... Tomka Sawyera”, książka Marka Twaina dla młodzieży
- 2) dachówki, strzecha, blacha, czyli ... dachu
- 3) chłopczyk z licznymi brązowymi kropeczkami na buzi
- 4) szkoda, uszczerbek (narazić zdrowie na ...)
- 5) tablica do warcabów, do gry w chińczyka, w scrabble
- 6) cmentarny pojazd
- 8) jazda na koniu bez siodła
- 9) kolektura; punkt Lotto
- 14) ostatni przypadek deklinacji (wpisz w l. mn.)
- 15) gliniany dęty instrument muzyczny
- 16) tasiemka przy koshulce maluszka
- 17) łódź do przewożenia towarów na wodach śródlądowych
- 18) plakat teatralny
- 19) kolor różowoczerwony z odcieniem fioletowym
- 23) grupowe zajęcia szkoleniowe, terapeutyczne



- 24) owadożerny mały ptaszek o nieproporcjonalnie długim ogonie (buduje kuliste gniazda)
- 25) wigilijne kolacje
- 27) tytoń do wążania
- 28) miejsce na stadionie dla miotaczy
- 29) edukacja zwierząt
- 31) Atlantycki, Spokojny, Indyjski
- 32) litościwa, miłosierna kobieta

- 37) wiosenny grzyb o pomarszczonej główce
- 38) wielka tragedia
- 39) James (zm. 1779), angielski żeglarz, kartograf, odkrywca m.in. archipelagu Fidzi i Nowej Kaledonii
- 40) jedno z mediów
- 41) autem do garażu
- 42) srebrzystoniebieski metal odporny na czynniki chemiczne.

ZAPRASZAMY!!!

STACJA KONTROLI POJAZDÓW

pn.-pt. 8:00-18:00
sob. 9:00-14:00

NR ZK/018/P

tel. 668 308 308**Koszalin, ul. Kolejowa 7B**

Tu znajdziesz **MIASTOPLUS**

Kawiarnie

- Park Caffè, ul. Asnyka 11
- Świat Lodów, ul. Zwycięstwa 43
- Kaliszczak, ul. Zwycięstwa 26a
- Kaliszczak, ul. Zwycięstwa 152
- So! Coffee, ul. Paderewskiego 1
- Kawiarnia Sowa, ul. 1 Maja 9a
- Koci Miętka, ul. Zwycięstwa 46

Restauracje

- Maredo, ul. Zwycięstwa 45
- Viva Italia, ul. Skłodowskiej-Curie 1-3
- Kukuryku, pl. Gwiazdzysty 5
- Piwnica pod Gryfami, ul. Piłsudskiego 28
- Projekt Kuchnia, ul. Piłsudskiego 6
- Studnia, ul. Mickiewicza 6
- Restauracja Fregata, ul. Podgrodzie 1a
- Bistro Loft7, ul. Jana z Kolna 7

Handel i usługi

- Telewizja Kablowa Koszalin, ul. Kotarbińskiego 3
- Biuro Podróży Turysta, ul. Andersa 2
- Galeria Emka, ul. Jana Pawła II 20
- Hotel Gromada, ul. Zwycięstwa 20
- Ilecki Nieruchomości, ul. 1 Maja 20/5

Zdrowie i uroda

- Panaceum, ul. Krzyżanowskiego 1
- Dermalogica, ul. Zwycięstwa 40
- Eliza Instytut Piękna, ul. Sikorskiego 4c
- Poliklinika Koszalin, ul. Szpitalna 2
- Szpital Wojewódzki, ul. Chałubińskiego 7
- Amadeus, ul. Modrzejskiej 40
- Gabinet Bogurscy, ul. Boczna 11/5

Kultura

- Centrum Kultury 105, ul. Zwycięstwa 105
- Teatr Variete Muza, ul. Morska 9
- Koszalińska Biblioteka Publiczna, pl. Polonii 1
- Bałtycki Teatr Dramatyczny, pl. Teatralny 1
- Filharmonia Koszalińska, ul. Piastowska 2
- Centrum Rozrywki „Na Pięterku”, ul. Jana Pawła II 15a
- Galeria „Na Piętrze”, ul. Dworcowa 2

Biznes

- Centrum Biznesu, ul. Zwycięstwa 42
- Koszalińska Izba Przemysłowo-Handlowa, ul. Zwycięstwa 126

Inne

- Regionalne Centrum Informacji Turystycznej, ul. Dworcowa 11-15
- KSM „Przylesie”, ul. Fałata 13
- KSM „Na Skarpie”, ul. Na Skarpie 17

JEDNA EMKA - DWIE WYSTAWY

UMYSŁ



WYSTAWA OBJAZDOWA

**CENTRUM
NAUKI
KOPERNIK**

WYSTAWA

ŚWIAT 3D

Wystawy czynne codziennie

pn. – sob. 9.00 – 21.00

nd. 10.00 – 20.00

WSTĘP WOLNY